

KĄŻDY TWÓJ UŚMIECH

AMELIA NOWIŃSKA



Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Amelia Nowińska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz

Korekta po składzie:
Ewelina Dobosz, Kamila Polańska, Ewa Woźniak

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik hermetycznie_zamknięte

Skład i przygotowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-55-5

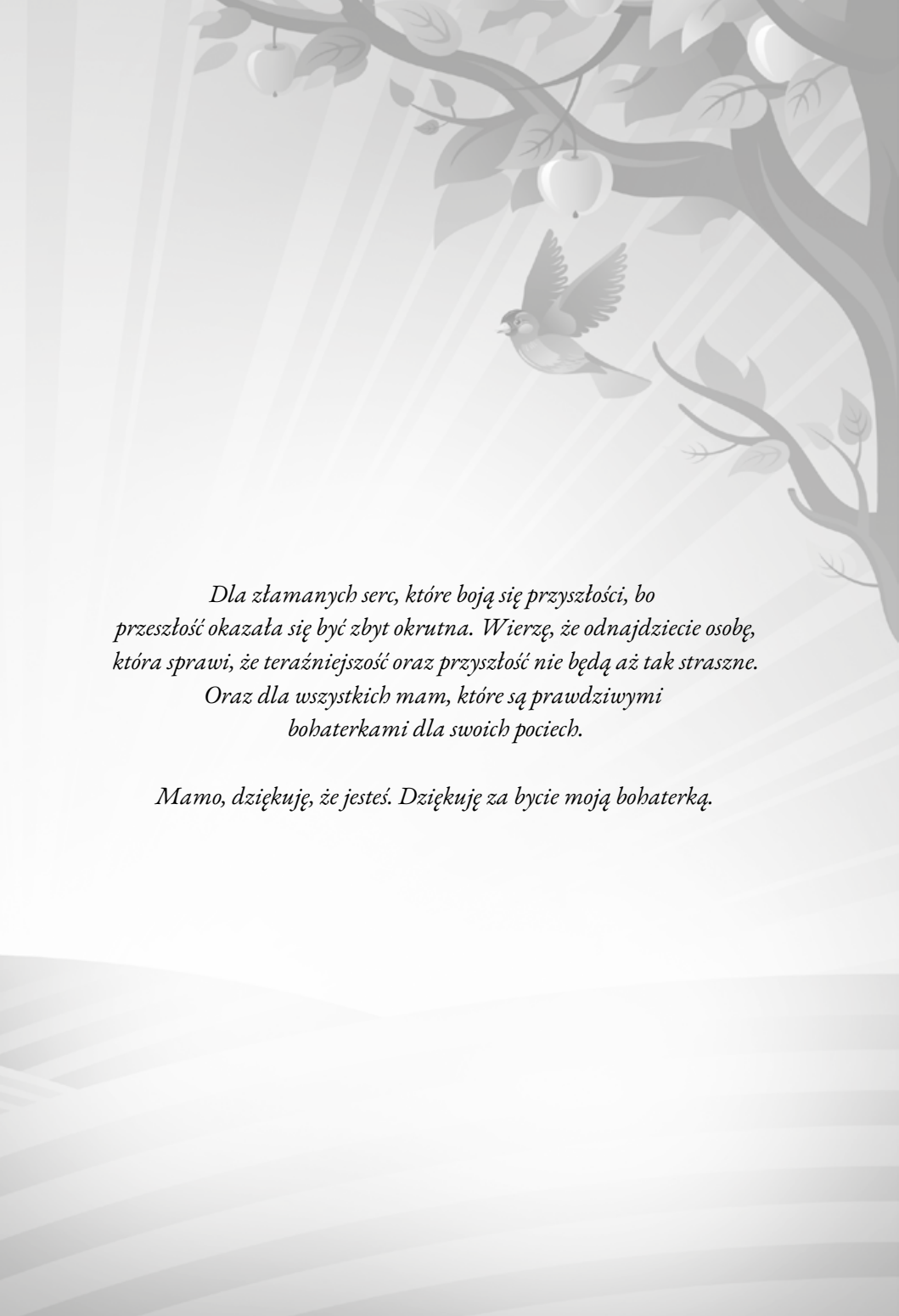

WYDAWNICTWO

KĄŻDY TWÓJ UŚMIECH

AMELIA NOWIŃSKA



Rebelle 
WYDAWNICTWO



*Dla złamanych serc, które boją się przyszłości, bo
przeszłość okazała się być zbyt okrutna. Wierzę, że odnajdziecie osobę,
która sprawi, że teraźniejszość oraz przyszłość nie będą aż tak straszne.
Oraz dla wszystkich mam, które są prawdziwymi
bohaterkami dla swoich pociech.*

Mamo, dziękuję, że jesteś. Dziękuję za bycie moją bohaterką.



Playlista

...Ready For It? – Taylor Swift

Dress – Taylor Swift

Missing You – Hong Dae Kwang

Espresso – Sabrina Carpenter

Little Things – One Direction

Who – Jimin

Style – Taylor Swift

Daylight – Taylor Swift

Yes or No – Jung Kook

Call Me Maybe – Carly Rae Jepsen

Love Me Like You Do – Ellie Goulding

Bajki – Zaleś

That's My Girl – Fifth Harmony

Treat You Better – Shawn Mendes

Serendipity – BTS

Those Eyes – New West

Uptown Girl – Billy Joel



Od Autorki

Drodzy Czytelnicy!

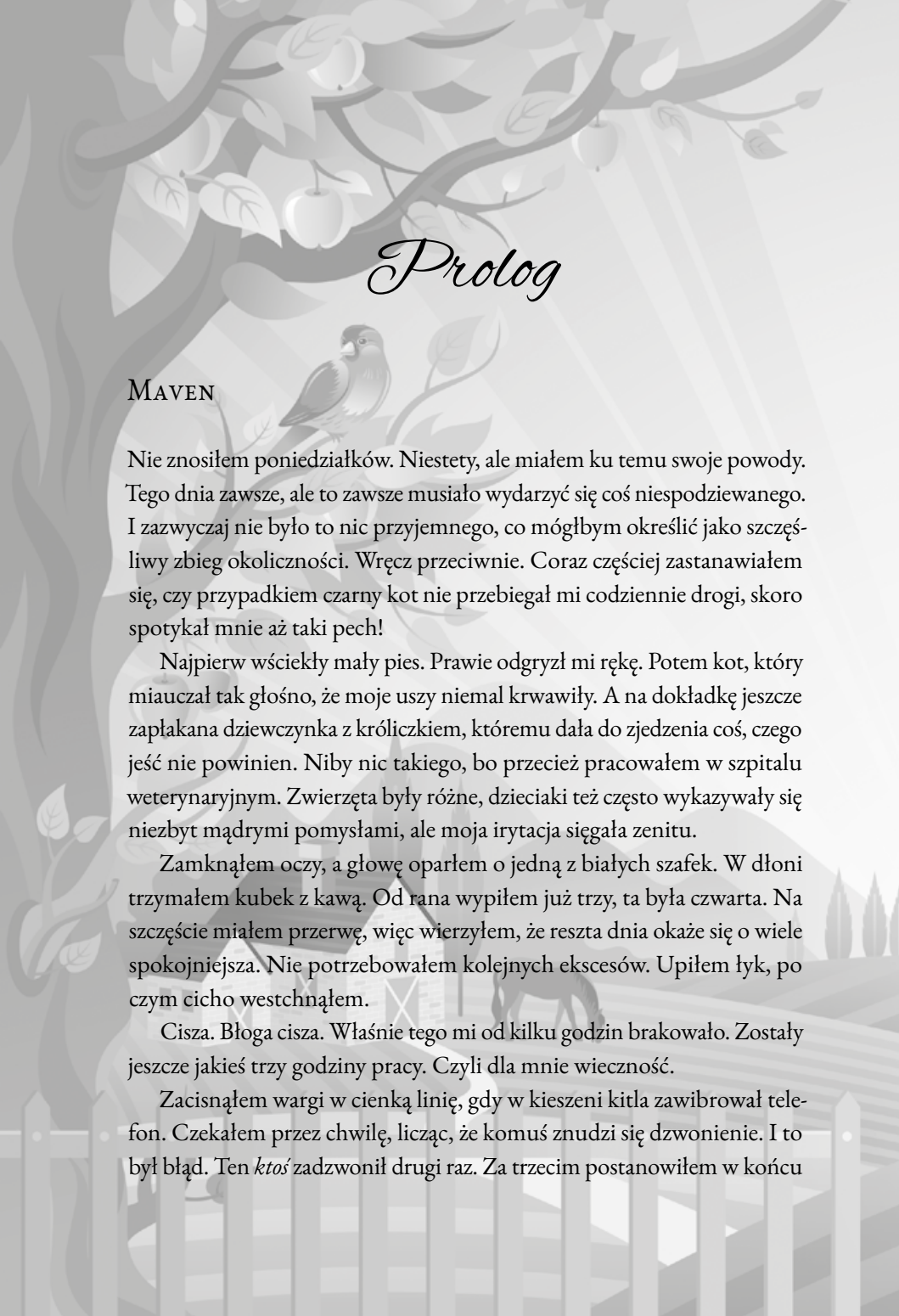
Chcę Was poinformować, że lokalizacje w tej książce są wytworem mojej wyobraźni. Wineley oraz pozostałe miejscowości, które będą się pojawiać w tej historii, tak naprawdę nie istnieją, nie można ich znaleźć na mapie świata.

Pragnę również przypomnieć, że *Każdy Twój Uśmiech* jest skierowany do czytelników, którzy ukończyli szesnaście lat. Jest to książka, która ma w sobie wiele ciepła, słodkich i wzruszających scen, ale nie zabraknie też sytuacji, które mogą Was zaboлеć.

Pojawiają się sceny związane z samotnym rodzicielstwem oraz retrospekcje głównego bohatera z dzieciństwa. W tych wspomnieniach będzie się kryła pogarszająca się relacja z rodzicami, ich toksyczne małżeństwo oraz to, jak to wszystko wpływało na bohatera, gdy miał zaledwie dziewięć i dziesięć lat.

A teraz zapraszam do zapoznania się z historią weterynarza, który przez podstęp dziadka znalazł się w znienawidzonym przez niego miasteczku. Rozgościć się!





Prolog

MAVEN

Nie znosiłem poniedziałków. Niestety, ale miałem ku temu swoje powody. Tego dnia zawsze, ale to zawsze musiało wydarzyć się coś niespodziewanego. I zazwyczaj nie było to nic przyjemnego, co mógłbym określić jako szczęśliwy zbieg okoliczności. Wręcz przeciwnie. Coraz częściej zastanawiałem się, czy przypadkiem czarny kot nie przebiegał mi codziennie drogi, skoro spotykał mnie aż taki pech!

Najpierw wściekły mały pies. Prawie odgryzł mi rękę. Potem kot, który miauczał tak głośno, że moje uszy niemal krwawiły. A na dokładkę jeszcze zapłakana dziewczynka z króliczkiem, któremu dała do zjedzenia coś, czego jeść nie powinien. Niby nic takiego, bo przecież pracowałem w szpitalu weterynaryjnym. Zwierzęta były różne, dzieciaki też często wykazywały się niezbyt mądrymi pomysłami, ale moja irytacja sięgała zenitu.

Zamknąłem oczy, a głowę oparłem o jedną z białych szafek. W dłoni trzymałem kubek z kawą. Od rana wypilem już trzy, ta była czwarta. Na szczęście miałem przerwę, więc wierzyłem, że reszta dnia okaże się o wiele spokojniejsza. Nie potrzebowałem kolejnych ekscesów. Upilem łyk, po czym cicho westchnąłem.

Cisza. Błoga cisza. Właśnie tego mi od kilku godzin brakowało. Zostały jeszcze jakieś trzy godziny pracy. Czyli dla mnie wieczność.

Zacisnąłem wargi w cienką linię, gdy w kieszeni kitla zawibrował telefon. Czekałem przez chwilę, licząc, że komuś znudzi się dzwonienie. I to był błąd. Ten *ktoś* zadzwonił drugi raz. Za trzecim postanowiłem w końcu

odebrać. Dotarło do mnie, że mogło to być coś ważnego. Wyciągnąłem komórkę i szybko zerknąłem, kto się dobija.

Dziadek.

Cholera jasna. Jak najszybciej odebrałem.

– Coś się stało, dziadku? – zapytałem na wstępie.

– Synku, jak dobrze, że odebrałeś – powiedział nieco zmartwionym głosem, co ani trochę mi się nie spodobało. Wyczułem, że coś się wydarzyło. Liczyłem, że się dowiem, ale dziadek nic więcej z siebie nie wykrzesał.

– O co chodzi? Coś z babcią?

Ostatnio nienajlepiej się czuła, więc to pierwsze, co przyszło mi do głowy. Odstawiłem kubek z kawą na blat.

– Tak jakby... – Westchnął ciężko.

– Dziadku, możesz jaśniej? Proszę cię... – Mój głos pod koniec lekko zadrżał.

– Czy mógłbyś... Mógłbyś po prostu przyjechać?

Nie wahalem się długo nad odpowiedzią. Dziadków stawiałem zawsze na pierwszym miejscu.

– Tak. Asher poradzi sobie sam. Poczekajcie na mnie, dobrze? Nie ruszajcie się nigdzie. Gdyby coś się działo, dzwoń. Postaram się od razu odebrać. Będę jechał najszybciej, jak tylko się da.

– Jedź ostrożnie – skarcił mnie.

– Dobrze. Do później.

Rozłączyłem się, wyszedłem z pokoju socjalnego i szybko wparowałem do mojego gabinetu. Unosił się w nim specyficzny zapach. Ludzie określali go jako typowo szpitalny i mieli w tym trochę racji. Nie rozglądałem się. Nie chciałem tracić czasu. Pozbyłem się kitla i powiesiłem go na wieszaku w rogu przy drzwiach. Sięgnąłem po aktówkę, która oczywiście leżała na fotelu, schowałem do niej telefon. Wyszedłem, a przy recepcji natknąłem się na przyjaciela, z którym prowadziłem tę klinikę.

Stał mi na drodze i popatrzył zdezorientowany. Jasne kosmyki opadły mu na skronie. Spojrzenie szmaragdowych oczu wypalało we mnie niewidzialną dziurę. Skóra muśnięta słońcem idealnie kontrastowała

z odcieniem włosów. Asher przypominał trochę typowego surfera. Tym bardziej z tym szelmowskim uśmieszkiem. W nosie miał kolczyk, a dokładnie septum.

– A ty dokąd?

– Dziadek do mnie zadzwonił. Muszę się dzisiaj zwolnić. Na wszelki wypadek biorę tydzień wolnego, ale mam nadzieję, że będę mógł wrócić już jutro – wytłumaczyłem w wielkim skrócie.

Wiedziałem, że nie będzie miał żadnych zastrzeżeń. Zdawał sobie sprawę, że dla dziadków mógłbym skoczyć w ogień.

– Pozdrów ich ode mnie i nie martw się na zapas – próbował mnie pocieszyć, ale niezbyt dobrze mu to wyszło.

Cholernie się bałem, że to coś poważnego. Dlatego nie mogłem dłużej zwlekać. Poklepałem go po ramieniu, a ten zaraz się przesunął.

Podbiegłem do drzwi, popchnąłem je i znalazłem się na zewnątrz. Na niebie pojawiło się pełno czarnych chmur. Dokoła panował chaos. Taki urok mieszkania w dużym mieście. Mnóstwo samochodów, spieszących się ludzi, którzy już zapobiegawczo wyciągnęli parasolki. Naprzeciwko kliniki znajdowała się apteka. Dwie ulice dalej – szpital dziecięcy. Niektórzy mieszkańcy nazywali to miejsce dzielnicą medyczną.

Gdzieś niedaleko zagrzmiało.

Szlag. Zbliżała się burza.

Wsiadłem do Mercedesa, a aktówkę rzuciłem na siedzenie pasażera. Próbowałem pośpiesznie zapiąć pasy, co nie skończyło się dobrze, bo za nic w świecie nie potrafiłem trafić.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Odetchnąłem z ulgą, gdy się udało. Odpaliłem silnik i wyjechałem z parkingu.

Czekały mnie ponad trzy godziny drogi do miasteczka, w którym od wielu lat zamieszkiwali dziadkowie. Wineley miało swój urok, ale nigdy

nie wyobrażałem sobie, by zostać tam na dłużej. Uważałem, że była to wieś bez żadnych większych perspektyw. A moje ambicje sięgały zdecydowanie wyżej.

Serce waliło mi tak mocno, że w pewnym momencie aż poczułem szum w uszach. Spocily mi się ręce. Klatka piersiowa unosiła się nierównomiernie. Zaciśnąłem mocniej palce na kierownicy. Gdy tylko mogłem, dodawałem gazu. Jechałem szybciej niż zazwyczaj, ale nadal nad sobą panowałem.

W oczach stanęły mi łzy, gdy wyobraziłem sobie *ten* jeden scenariusz. Nie powinienem tak myśleć, ale to działo się samo. Utrata babci lub dziadka zabiłaby coś we mnie. Zdawałem sobie sprawę, że kiedyś nadejdzie taki dzień, ale nie tak szybko. Jeszcze nie. Po prostu nie.

Walczyłem z czarnymi wizjami w zasadzie przez całą podróż. Rozpadało się na dobre. Wycieraczki pracowały bez przerwy. Najgorzej zaczęło padać, gdy dojechałem do lasu. A ten ciągnął się przez dłuższą część trasy. Na drodze, jak na mojego pecha przystało, zrobiło się ślisko, więc nie mogłem pozwolić sobie na większą prędkość. Gdzieś tam niebo rozświeślały pioruny.

Chyba po raz pierwszy w życiu poczułem tak wielką ulgę, gdy dostrzegłem znak z napisem: „Witamy w Wineley!”.

Poza lasem nieco się przejaśniło, nadal padało, ale już nie grzmiało. Zostały mi ostatnie trzy minuty tej cholernie stresującej drogi. Przez cały czas towarzyszyło mi jakieś dziwne przeczucie, które dawało do zrozumienia, że coś było inaczej. Że na coś się zanosilo.

Zaparkowałem przed domem dziadków. Wysiadłem z auta, nie dbając o to, że najprawdopodobniej przeraźliwie zmoknę. Myślałem, że zaraz działek mi otworzy, ale nic takiego się nie stało. Strach stawał się coraz większy. Paraliżował mnie jak nigdy wcześniej. Zacząłem dobijać się do bramy.

Zwlekanie nie było w moim stylu. Mokra koszula przyłgnęła do ciała, a ten fakt zdecydowanie wybudził mnie z chwilowego transu.

Prawą ręką chwyciłem się górnej części bramy, a lewą złapałem trochę niżej. Uniosłem nogę. Tak, zamierzałem się wspiąć, a potem przeskoczyć.

Innego wyjścia nie znalazłem. Dziwiłem się tylko, że dziadek nadal nie wyszedł. Poza tym, gdyby coś się działo, cała wieś stałaby pod domem. No chyba że coś się zmieniło od mojej ostatniej, krótkiej wizyty.

Gdy już miałem przeskoczyć, nagle ktoś mocno złapał mnie za koszulę. Prawie straciłem równowagę, ale udało mi się nie upaść.

Ten ktoś obrócił mnie przodem do siebie. Natknąłem się na spojrzenie ciemnych oczu. Trochę za późno, ale jednak zorientowałem się, że złapał mnie cholerny policjant, który wyglądał tak, jakby chciał mnie co najmniej zabić. Zawiesiłem wzrok na jego pistolecie. *Mam nadzieję, że go nie użyje.* Był podobnego wzrostu co ja, ale wydawał się bardziej przypakowany.

– A ty skąd się tu wzięłeś? – zapytał podejrzliwie. – No gadaj! – dodał pospiesznie.

Przełknąłem ślinę.

– Jestem wnuczkciem. To ja. Maven. Na pewno mnie pan kojarzy. Przyjechałem do dziadka. Dzwonił do mnie z trzy godziny temu. – Uśmiechnąłem się nerwowo.

Gniewnie zmarszczył brwi. Chyba moje tłumaczenia za wiele nie dały... *Świetnie.*

– Metoda na wnuczka? Ty obrzydliwy gnojku! – wyszczał. – Co ty sobie myślisz?!

Popatrzyłem na niego zszokowany. Do cholery jasnej, czy ja grałem w jakiejś ukrytej kamerze? Przejechałem tyle kilometrów, żeby ktoś zwyzywał mnie od złodziei udających wnuczka? Złość zaczęła ze mną wygrywać. Odepchnąłem od siebie funkcjonariusza, co okazało się błędem.

– Bezczelny gówniarz! – warknął.

– Mam na imię Maven, rozumie pan? A tutaj mieszka mój dziadek. Ji-Yul. Doktor Ji-Yul – powtórzyłem zirytowany, przy czym spiorunowałem go wzrokiem. Zastanawiałem się, co zrobić, żeby mnie jakoś rozpoznał.

– No proszę, nawet wiesz, czym się zajmuje. Podstępny gnój – wypowiedział z jadem.

Nie ułatwiłem sobie. Ani trochę.

Odsunąłem się od niego na bezpieczną odległość, ale spokój nie trwał zbyt długo. Instynkt samozachowawczy dał o sobie znać, tylko szkoda, że w tak kiepskim stylu. Przyspieszyłem kroku, a wtedy mężczyzna złapał mnie mocno, obrócił w jakiś przedziwny sposób, przez co upadłem plecami na beton. Zduszony krzyk opuścił moje usta. Czy zabolalo? To mało powiedziane.

Nie minęło nawet kilka sekund, a obraz przed oczami się rozmył. Nastąpiła całkowita ciemność.



Do moich uszu jak przez gruby mur zaczęły docierać jakieś dziwne urywki rozmów, które za jakiś czas ułożyły się w całość.

– Idioty, i coś ty narobił? A co, jak się już nie obudzi? Doktor Ji-Yul nas zabije. Nie tak to miało wyglądać! Nie taki był plan!

Próbowałem otworzyć oczy albo chociażby się odezwać, ale nie miałem w sobie energii. Jakaś siła zmuszała mnie, żeby trwać w takim bezruchu.

– Ja go tylko ogłuszyłem...

Skruszony głos ewidentnie należał do... Do tego policjanta! Oni chcieli mnie zabić!

Wziąłem się w garść. Udało mi się powoli otworzyć oczy. Skrzywiłem się, gdy pierwsze, co zobaczyłem, to oślepiające światło żarówki. Jęknąłem boleśnie. Dookoła mnie coś się zaczęło dziać. Dwa głosy zamilkły, a po chwili ktoś też chyba podszedł.

– Panie Namgung, wszystko w porządku? Czy coś pana boli? Może się pan poruszać?

Kobieta. Jakiś miły, ale nieco wystraszony ton głosu.

Wow, w końcu się dowiedzieli, kim jestem. Obróciłem powoli głowę. Popatrzyłem na kobietę i skinąłem ostrożnie. Oblizalem spierzchnięte wargi. *Już mówiłem, że nienawidzę poniedziałków?*

– Chciałbym... usiąść – oznajmiłem zachrypniętym głosem.

Drobna brunetka spojrzała na kogoś groźnie. Miała na sobie fioletową koszulkę i spodnie w tym samym odcieniu. Na szyi wisiał stetoskop. Szybko doszedłem do wniosku, że musiała być pielęgniarką albo lekarką.

Od tyłu podeszła do mnie kolejna osoba. Uniosłem się lekko, a wtedy oboje wsunęli dłonie pod moje plecy i powoli pomogli usiąść. Wszystko dookoła mnie przez krótką chwilę wirowało, ale zaraz ustąpiło.

Poza tym, że czułem się trochę obolały, nie sądziłem, żeby coś więcej mi dolegało. Najwidoczniej zetknięcie z betonem nie skończyło się aż tak źle, jak to sobie wyobrażałem. Naprzeciwko mnie stanął tamten policjant. Popatrzyłem na niego z chęcią mordy. Gdybym miał w sobie więcej siły, odwdziczyłbym się za to, co mi zrobił.

Zorientowałem się, że położono mnie na leżance w pokoju zabiegowym. Wszędzie biel, kilka szafek, biurko, a przez niewielkie okno wpadało całkiem sporo światła. Typowy gabinet. Nic specjalnego.

– Mam rozumieć, że w tym miasteczku rzucanie się na obywateli jest całkowicie normalne? – sarknąłem.

Pomimo że ten facet wyglądał, jakby faktycznie żałował, nie zamierzałem tak po prostu mu odpuścić.

– Proszę wybaczyć. Naprawdę nie wiedziałem, że to pan. Wydawało mi się, że ktoś próbuje się włamać pod nieobecność pań...

Uciął w połowie zdania, a ja zmarszczyłem brwi. Jaka nieobecność? Przecież mieli się nigdzie nie ruszać. Prosiłem, żeby na mnie poczekali.

– Proszę dokończyć – nalegałem.

Ta dwójka spojrzała na siebie wymownie. Kobieta podrapała się po policzku, jakby czegoś się obawiała. Zauważyłem, że na bluzce miała przyczepioną plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Charlene Walker. Za to policjant odwrócił wzrok. Chrząknąłem głośno. Dalej czekałem. A oni nadal milczeli.

– Powiecie coś czy...

Moje pytanie przerwał dźwięk telefonu. Charlene odebrała w ekspresowym tempie.

– Mhm. Tak. Zgadza się. Tak. Mhm. – Kiwała głową. – Ależ oczywiście. Tak, jest tutaj z nami. Podać? Dobrze. – Wyciągnęła rękę w moją stronę, przekazując mi telefon.

Zamrugałem kilka razy. Nic, ale to nic do mnie nie dochodziło. Niby ukończyłem studia, pracowałem w całkiem niezłym zawodzie, a czułem się tak głupi, że to przechodziło ludzkie pojęcie. Dziadek ewidentnie coś uknuł i ani trochę mi się to nie podobało, choć jeszcze nie poznałem planu tej całej intrygi.

Niechętnie wziąłem od niej urządzenie i przyłożyłem do ucha.

– Tak?

– Synku, wybacz to całe zamieszanie. Ale wiem, że w innym wypadku nie przyjechałbyś do naszego Wineley. Nic mi nie jest. Babci zresztą tak samo. Jest zdrowa i szczęśliwa. Wybacz, że tak cię nastraszyliśmy.

Westchnąłem ciężko. Dziadek tak po prostu mnie okłamał, bo chciał, żebym przyjechał na wieś? Racja, nie odwiedzałem ich zbyt często. Zazwyczaj wyglądało to tak, że przyjeżdżałem po nich i jechaliśmy do mnie, żeby pokazać im ten miejski zgiełk, który naprawdę był godny uwagi. Oboje z babcią często nazywali mnie „synkiem”, ponieważ to oni okazali mi najwięcej miłości. To im wszystko zawdzięczałem.

– To po co to całe zamieszanie? – zapytałem łagodnie. Prędzej uciałbym sobie język, niż krzyknął na dziadka.

– Razem z babcią zdecydowaliśmy się na podróż. Przez ostatnie lata odłożyliśmy trochę pieniędzy. Nie będzie nas cztery miesiące, a to wiąże się z tym, że w miasteczku nie zostanie żaden dobry weterynarz. Nie zgodziłbyś się, gdybym tak po prostu cię zapytał, więc babcia wpadła na pomysł, że musimy postawić cię przed faktem.

Nie wierzę. Moi dziadkowie to duet przestępców. Duet, któremu dałem się w to wciągnąć. Boże, dlaczego?

– Ale... ale ja też mam pracę. Nie mogę zostawić Ashera na cztery miesiące. To jest zdecydowanie za długo.

– Nie martw się o Ashera. Już z nim porozmawiałem. Odczekałem kilkanaście minut po telefonie do ciebie, żeby potem zadzwonić do niego i wszystko mu wyjaśnić – odpowiedział zadowolony z siebie.

Asher, zabiję cię. Jak on mógł podjąć decyzję bez skonsultowania jej ze mną? I czemu od razu do mnie nie zadzwonił?

– Nie, wybacz, ale nie mogę tutaj zostać – powiedziałem przez ściśnięte gardło.

– To tylko cztery miesiące. Proszę, zgódź się. Chciałbym spełnić największe marzenie twojej babci.

Zaczął grać na emocjach. Dla dziadków zrobiłbym naprawdę wiele. Wręcz wszystko. Pamiętałem, że babcia w młodości marzyła o podróżach. Potem poznała dziadka, pojawiły się pierwsze iskry, które spowodowały, że posłuchała głosu serca. Byli dowodem na to, że dla prawdziwej wielkiej miłości jest się gotowym zrezygnować ze swoich planów.

Wahałem się nad odpowiedzią. Nie widziało mi się tutaj zostać na tyle miesięcy, ale nie mogłem zawieść dziadka. Mieszkańców tak samo. Zwierzęta potrzebowały weterynarza w każdej chwili. Poza tym nie mogłem burzyć marzeń ukochanej babci, która wypruwała sobie żyły, żeby żyło mi się jak najlepiej.

– Dobrze. Ale po tych czterech miesiącach wracam do siebie – postawiłem warunek.

– Ji-Yul, zabrałeś ze sobą paszport, prawda? – usłyszałem zatroskany głos babci.

– Tak, kochanie. Niczym się nie martw – uspokoił żonę, po czym kontynuował rozmowę ze mną: – Tak, właśnie tak zrobimy. Muszę już kończyć, zaraz mamy lot. Charlene da ci klucze do domu i kliniki. Jutro dowiesz się reszty. Wszyscy będą służyć ci pomocą.

Nie lubiłem, gdy ktoś mi pomagał. Liczyłem, że sam sobie świetnie poradzę.

– Bawcie się dobrze. I nigdy więcej nie róbcie mi takich scen. Prawie zszedłem na zawał.

Śmiech dziadka rozbrzmiał w słuchawce. Gdybym nie był aż tak zmęczony, może pośmiałybym się razem z nim.

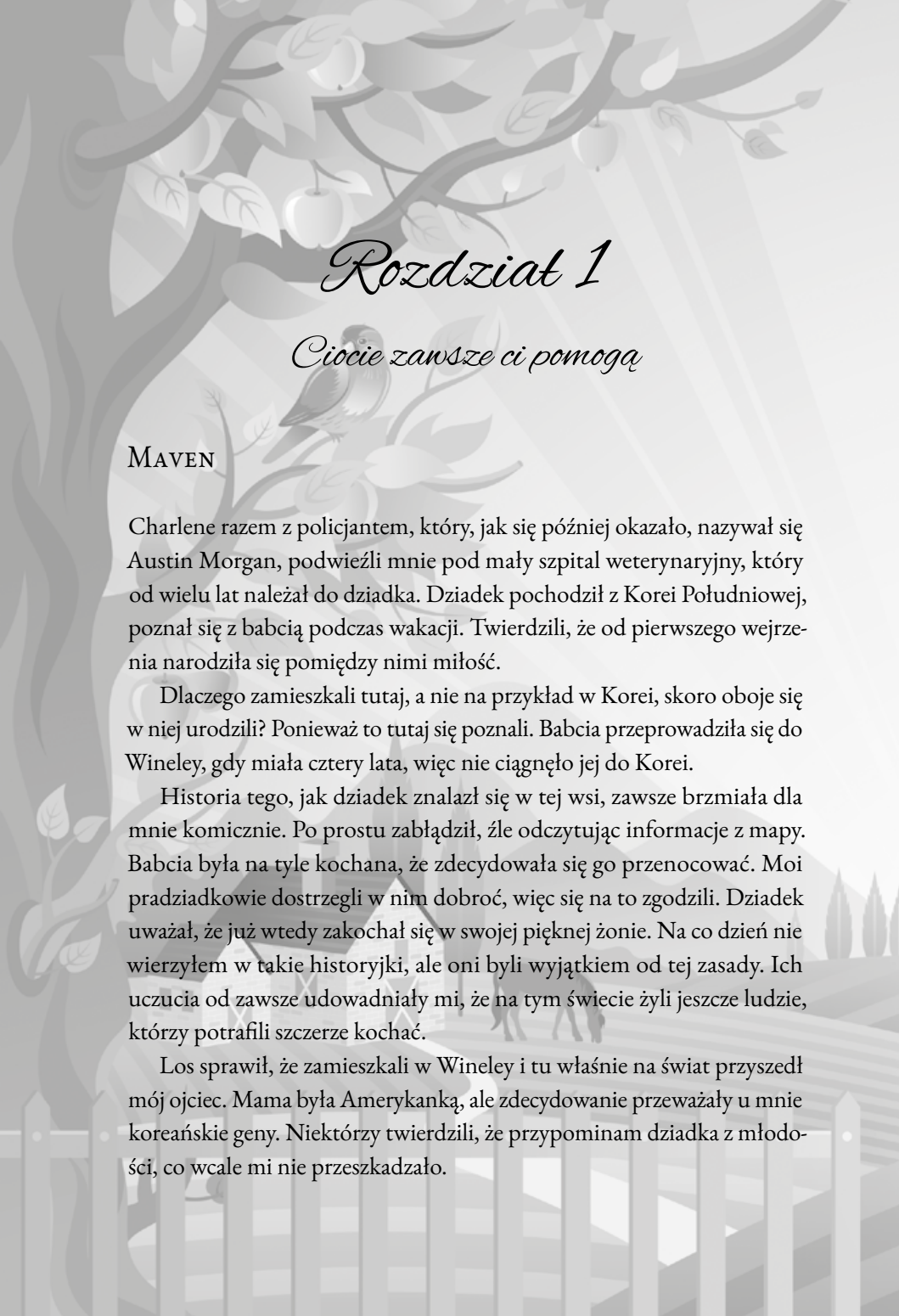
– Też cię kochamy!

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo zaraz się rozłączył. Odsunąłem telefon i oddałem go Charlene.

– Proszę się nie bać. Na pewno się panu tu spodoba – pocieszyła mnie.

– Mhm, nie wątpię – wymamrotałem z jakże dużym entuzjazmem.

To nie może się dobrze skończyć. Przecież ja nie znoszę Wineley.



Rozdział 1

Ciocie zawsze ci pomogą

MAVEN

Charlene razem z policjantem, który, jak się później okazało, nazywał się Austin Morgan, podwieźli mnie pod mały szpital weterynaryjny, który od wielu lat należał do dziadka. Dziadek pochodził z Korei Południowej, poznał się z babcią podczas wakacji. Twierdzili, że od pierwszego wejrzenia narodziła się pomiędzy nimi miłość.

Dlaczego zamieszkali tutaj, a nie na przykład w Korei, skoro oboje się w niej urodzili? Ponieważ to tutaj się poznali. Babcia przeprowadziła się do Wineley, gdy miała cztery lata, więc nie ciągnęło jej do Korei.

Historia tego, jak dziadek znalazł się w tej wsi, zawsze brzmiała dla mnie komicznie. Po prostu zabłądził, źle odczytując informacje z mapy. Babcia była na tyle kochana, że zdecydowała się go przenocować. Moi pradziadkowie dostrzegli w nim dobroć, więc się na to zgodzili. Dziadek uważał, że już wtedy zakochał się w swojej pięknej żonie. Na co dzień nie wierzyłem w takie historyjki, ale oni byli wyjątkiem od tej zasady. Ich uczucia od zawsze udowadniały mi, że na tym świecie żyli jeszcze ludzie, którzy potrafili szczerze kochać.

Los sprawił, że zamieszkali w Wineley i tu właśnie na świat przyszedł mój ojciec. Mama była Amerykanką, ale zdecydowanie przeważały u mnie koreańskie geny. Niektórzy twierdzili, że przypominam dziadka z młodości, co wcale mi nie przeszkadzało.

W miasteczku zdążyło się rozpogodzić. Stałem przed drzwiami do kliniki. Bawiłem się kluczami. Nadal nie dowierzałem, że się na to zgodziłem. Cztery miesiące w miejscu, którego szczerze nienawidziłem. Na samą myśl bolała mnie głowa. *Będę żałował, to już pewne.*

Uniosłem wzrok. Przyjrzałem się temu miejscu z zewnątrz. Przypominało bardziej jakiś drewniany domek, choć wiedziałem, że jakiś czas temu szpital został wyremontowany po tym, jak dziadek wysłał prośbę o dotację. Był jedynym weterynarzem w wiosce, więc należały mu się jak najlepsze warunki.

Nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem: „Szpital Weterynaryjny u Namgunga”. Podeszedłem bliżej, wsunąłem klucze do zamka, przekręciłem je dwa razy, nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Pierwsze, co wyczułem, to ten sam zapach, co w mojej klinice.

Przy samym wejściu, niedaleko małej recepcji, gdzie znajdowało się przesuwane okienko, znajdowała się ławka. Ściany były w odcieniu kości słoniowej. Panował tutaj kameralny, a może nawet i domowy klimat.

Przeszedłem dalej, żeby zobaczyć, w jakich warunkach przyszło mi pracować. Jedno biurko ustawione przy ścianie, tak aby promienie słońca padały pod idealnym kątem. W lewym rogu ustawiono sporo klatek. Różnych wielkości. Nie zabrakło typowych sprzętów do pracy ze zwierzętami i zapasu rękawiczek.

Spojrzałem jeszcze na stanowisko przy recepcji. Niczym szczególnym się nie wyróżniało, było połączone z moim gabinetem. Szybko doszedłem do wniosku, że najwięcej prywatności znajdę w łazience albo przy zwierzętach. Miałem nadzieję, że poradzę sobie w roli weterynarza na wsi. W mieście przyjmowałem zwierzęta, które mogłem trzymać w rękach. Już od paru lat nie miałem styczności z krowami, kozami, kurami, świniami, bykami...

Zmęczenie dawało o sobie znać. Postanowiłem, że przyjrę się temu miejscu na następny dzień z rana. Zgasilem światło, ustawiłem wszystko tak, jak było przed moim przybyciem. Szedłem do drzwi, a wtedy pod nogami skrzypnęła jedna z drewnianych desek. *Cudownie. Chyba kwota*

dotacji nie wystarczyła na wszystko. Dlaczego dziadek mi o tym nie powiedział? Pomógłbym.

Wyszedłem z kliniki i ruszyłem w stronę radiowozu. Przed wejściem do auta spojrzałem jeszcze raz na budynek. Niedaleko rośło duże drzewo, a pod nim stała urocza ławeczka. Pomyślałem, że w upały można było chociaż trochę się ochłodzić.

Wsiadłem do samochodu i zapiąłem pasy. Nie czułem się bezpiecznie z myślą, że prowadzić ma ten furiat. Rzucił się na mnie bezpodstawnie. Nie mogłem tak szybko mu tego wybaczyć.

– I jak się panu podoba? – zagaіła Charlene.

Westchnąłem cicho. Skupiłem wzrok na szybie.

– Jest okej – odpowiedziałem krótko.

– Wiemy, że to inne standardy niż te, w których pan pracuje na co dzień, ale wierzymy, że się panu spodoba. Dziadek bardzo pana chwalił. Uważa, że osiągnął pan naprawdę wiele, a przecież jest pan jeszcze bardzo młody. Zawsze może pan się do nas zwrócić z jakąkolwiek prośbą. Postaramy się pomóc.

Gadała jak najęta. W pewnym momencie się wyłączyłem. Racja, nie było to zbyt eleganckie, ale marzyłem jedynie o ciepłym prysznicu i pójściu spać. Ten dzień naprawdę mnie wymęczył. Wołałem, żeby dobiegł już końca.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy nastąpiła cisza.

I tak nie zamierzam korzystać z waszych porad. Sam świetnie sobie poradzę.

– A ja chciałbym jeszcze raz pana przeprosić. Zachowałem się nieodpowiedzialnie. Mogłem inaczej do tego podejść. Nawet nie zapytałem o dokument tożsamości. Wtedy nie doszłoby do tej całej pomyłki. Mam nadzieję, że ból pleców już przeszedł. Zrozumiem, jeśli będzie chciał pan porozmawiać z moim przełożonym.

Policjant zdecydowanie żałował czynów, których się dopuścił. Trochę śmieszyło mnie to, w jaki spanikowany sposób powiedział o swoim szefie. Bał się, że go zwolni?

– Jutro z chęcią z nim podyskutuję – odparłem poważnie.

Z nikim nie planowałem rozmawiać. Chciałem go tylko trochę nastraszyć. Jedyna rozrywka tego dnia. Należała mi się.

– Jest... Jest pan pewien? – zapytał drżącym głosem.

– Mhm – mruknąłem od niechcienia.

– Panie Namgung, ale po co? Przecież już przeprosił, nic poważnego na szczęście się nie stało. – Charlene próbowała go bronić.

Coś ich łączyło, że aż tak się zmartwiła?

– Naprawdę myślicie, że chce mi się tracić czas na jakieś oskarżenia i rozmowy? – zapytałem znudzony. – Do nikogo z tym nie pójde. Wkręcałem was – wyjaśniłem, gdy Charlene spojrzała na mnie zdezorientowana.

Spojrzeni na siebie, po czym wybuchnęli śmiechem. Skrzywiłem się nieznacznie. *Oszaleję tutaj zaraz*. Cudownie, że mój żart tak przypadł im do gustu. Te śmiechy tworzyły mieszkankę irytacji, która sprawiała, że pragnąłem uciec z samochodu, a najlepiej z tej wsi. Ludzi stąd znałem jedynie z opowieści dziadków. Oni mogli nawet ich kochać, a ja już niekoniecznie.

Dziękowałem wszechświatowi, że do końca jazdy ani razu już się do mnie nie odezwali.

Cisza koła duszę po tym przeklętym poniedziałku.

Przecucie mnie nie myliło. Naprawdę towarzyszył mi jakiś pech. I to chyba od najmłodszych lat, skoro znowu znalazłem się na dłużej w tym koszmarnym miasteczku.

Policjant zaparkował przed bramą.

– Dziękuję za podwózkę. Życzę miłego wieczoru.

Nie umiałem się żegnać z ludźmi, więc wyszło tragicznie. Zdążyłem do tego przywyknąć, a oni niekoniecznie, bo popatrzyli na mnie w taki sposób, jakbym był wariatem. Po chwili po prostu się do mnie uśmiechnęli.

Wysiadłem z auta z prędkością światła. Wsunąłem dłoń do kieszeni spodni, aby upewnić się, że miałem klucze, które mi wręczono. Podeszedłem jeszcze do mojego wozu, żeby zabrać z niego aktówkę. W samochodzie zawsze miałem koszulę i spodnie na zmianę.

Podszedłem do furtki i otworzyłem ją. Wspiąłem się po schodkach i wszedłem do domu. W przedpokoju panowała czystość. Babcia zawsze dbała o takie rzeczy.

Zdjąłem buty, bo zaczynały mnie boleć nogi. Odetchnąłem z ulgą. Wszedłem w głąb domu. Salon był połączony z kuchnią, w której znajdował się niewielki stół z trzema krzesłami. Można było się tu poczuć przytulnie i komfortowo. Miękki, puchaty dywan, drewniane podłogi, jasna kanapa i kilka kolorowych poduszek. Na ścianach wisiały zdjęcia dziadków. Z lat młodości, z dnia ślubu oraz gdy babcia była w ciąży. Nie zabrakło zdjęć ze mną oraz z moim ojcem, więc szybko odwróciłem wzrok.

Na małym stoliku kawowym leżały krzyżówki dziadka oraz jakieś sudoku, które kochała rozwiązywać babcia. Idealny duet. Po raz kolejny przekonywałem się, że łączyły ich nawet takie błahostki. Na kanapie zostawiłem aktówkę oraz moje ubrania.

Na parapetach stały kwiaty w doniczkach. Obawiałem się, że przeze mnie długo nie pożyją. Babcia uwielbiała zajmować się roślinami. Ogród stał się jej ulubionym miejscem na ziemi, gdy zaprzestała podróżować.

Potrzebowałem się napić. Butelka stała akurat na blacie. Z górnej szafki wyjąłem szklankę, a gdy już miałem sobie nalać wody, rozbrzmiała niepokojąca krzątanina.

– Tutaj jest nasz wspaniały, uroczy Maven! – Słodki, piskliwy głos sprawił, że prawie podskoczyłem.

Szybko zakręciłem butelkę i obróciłem się, a wtedy zobaczyłem trzy kobiety w podeszłym wieku. Trzymały w rękach siatki wypełnione... Sam nie wiedziałem czym, ale obawiałem się, że masą jedzenia.

– Na Boga, jaki ty jesteś już duży kawaler! – zachwyciła się jedna z nich.

Popatrzyłem na nią niezbyt zadowolony. Czarne włosy upięła w niskiego koka, kwiatowa sukienka sięgała jej do kostek, usta pomalowała czerwoną szminką, a róż na policzkach był na tyle krzykliwy, że z trudem powstrzymałem się od skrzywienia. Na jej drobnej twarzy odznaczały się kości policzkowe. Kojarzyłem ją z opowieści babci. Jeśli nie pomyliłem osób, to miała na imię Aurelia.

– Podejdz do mnie. Niech ja cię wyściskam – rzuciła kolejna ze wzruszeniem. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale jestem Maribelle. Twoja dalsza ciotka.

Nie, nie pamiętam. Zostaw mnie. Idźcie sobie, błagam.

Ta cała dalsza ciotka wpatrywała się we mnie brązowymi oczami. Poprawiała palcami włosy obcięte na boba. Na jej pulchnej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Była znacznie niższa od dwóch pozostałych kobiet. Jej nadgarstki opłatały bransoletki, a szyję duże czerwone korale.

Ostatnią z nich znałem „najlepiej”, ponieważ faktycznie należała do jakiejś dalszej rodziny babci. Zgadywałem, że reszta po prostu kolegowala się z moimi dziadkami.

– Ale ty zmężniałeś! – pochwaliła ze wzruszeniem.

Grace Johansson i jej czupryna jasnych, bujnych loków. Najwyższa z całej „świętej trójcy”. Wyróżniała się również stylem. Ciotka Grace lubiła być na czasie. Posługiwała się telefonem dotykowym, a nawet miała własnego Instagrama. Skąd o tym wiedziałem? Znalazła mnie. I zaobserwowała. Komentarzowała też zdjęcia. Od tego czasu praktycznie niczego nie wstawiałem, bo za każdym razem towarzyszyło mi jedno wielkie zażenowanie. Jeżeli już, to zmieniałem profilowe.

Wychodziło na to, że te kobiety poznały mnie już świetnie.

Będę miły.

No przynajmniej spróbuję.

– Jak panie tutaj weszły? – zapytałem na wstępie.

– Och, ale czemu „panie”? Przecież my ciotki jesteśmy! Zwracaj się do nas, jak tylko chcesz – zaświergotała Grace. – Ja jestem Grace, to jest Maribelle, ale możesz mówić Mari, a tutaj nasza kochana Aurelia.

Bez ostrzeżenia wpadły do kuchni. Postawiły siatki na stole, a mnie zaczęło się robić słabo. Obawiałem się, że jednak nie przeżyję tego dnia.

Zabierzcie mnie stąd.

– Zobacz, tutaj masz suszone pomidorki. Tutaj masz ogóreczki – wymieniała z zachwytem Maribelle. – Jeszcze owoców ci zerwałam z ogródka.

Jak Erick będzie się dąsał, to go nie słuchaj. Trochę jabłek i truskawek. Przyda ci się, bo jakiś taki mizerny się wydajesz. – Westchnęła ciężko.

Kim jest, do cholery, Erick?

Aurelia znalazła się zdecydowanie za blisko mnie. Chwyciła moje policzki, lekko je ścisnęła i cmoknęła niezadowolona.

– Ty się tylko sałatą żywisz w tym wielkim mieście? – obruszyła się. – Jakim cudem masz takie mięśnie, a tu taki zmizerniały? Jeszcze trochę i w królika się przemienisz.

Zamienię się we wściekłą bestię, odpowiedziałem w myślach, bo na głos nie wypadało.

Jednocześnie dostałem komplement i reprimendę. Fascynujące.

– Wolny strzelec czy jakaś już cię usidliła? – Grace puściła oko, a mnie przeszła fala zażenowania.

– Czy to takie ważne? – W końcu coś powiedziałem.

– Tak! – odpowiedziały chórem.

– Taki mężczyzna jak ty już powinien powoli układać sobie życie. Praca to nie wszystko. Dziadek ci tego nie wpoił? – Aurelia spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Proszę wybaczyć, ale to moje życie i moja sprawa. Gdy poczuję się gotowy, to wtedy zacznę się z kimś umawiać. Moje życie miłosne nie jest ciekawym tematem do rozmów – zapewniłem chłodnym tonem i spojrzełem na nie ze zmęczeniem.

Maribelle usiadła przy stole, a Aurelia poszła w jej ślady. Za to Grace wyciągnęła kolejne słoiki i jeszcze dużą butelkę z kompotem.

– Czyli jesteś wolny – wywnioskowała.

Nie, szybki. Mój poziom zirygowania niebezpiecznie się podnosił.

Oparłem się pośladkami o blat, a ręce skrzyżowałem na torsie.

– Tak – odpowiedziałem w nadziei, że dadzą mi spokój.

Ale ze mnie naiwniak...

– Cudownie. My już kogoś ci tutaj znajdziemy, zobaczysz! – Aurelia potarła ręce, jakby wpadła właśnie na genialny pomysł.

– Za cztery miesiące wyjeżdżam. Nie potrzebuję pomocy – rzuciłem z powagą. – Ciociu – dodałem po chwili.

– Ale ciocie zawsze ci pomogą. W każdej sprawie. – Grace stała twardo przy swoim.

– Właśnie. W sumie to ta cała Betty jest całkiem ładna – mruknęła Aurelia.

– Oj, nie, nie, nie. Ona chyba już kogoś ma – dodała od siebie Maribelle.

– Agatha? – zaproponowała Aurelia.

– Odpada. Nie dogadają się z Mavenem – stwierdziła Grace. – Może Lucy?

– Źle wychowana. – Aurelia się skrzywiła.

– Mamy jeszcze naszą piękną Elodie. To jest dopiero promyczek. Tak strasznie mi jej szkoda. – Grace podparła podbródek o pięść, a łokieć ułożyła na stole.

– Oj, tak, przepiękna dziewczyna – westchnęła z zachwytem Aurelia. – A do tego mądra, uprzejma i pomocna. Kocham ją całym sercem!

– Całe Wineley ją kocha – poprawiła Aurelię Maribelle.

Chrząknąłem głośno. Zdecydowanie przesadziły. Nie interesowała mnie żadna z wymienionych przez nie kobiet. A w szczególności ta, którą tak się zachwycały.

– A dowiem się w końcu, jak tutaj weszłyście? – zmieniłem temat. Nie czułem się komfortowo, więc wołałem zakończyć tę farsę.

– No jak to „jak”? Furtka była otwarta, drzwi na klucz nie zamknąłeś, więc stwierdziłyśmy, że możemy jeszcze wpaść w odwiedziny. – Grace wzruszyła ramionami.

– Mhm, no tak. To całkowicie normalne, że wchodzi się do kogoś bez pukania. – Moja odpowiedź ociekała sarkazmem, ale najwidoczniej tego nie rozumiały, bo żadna z nich nie zareagowała.

Szybko zapamiętałem, żeby zawsze zamykać furtkę oraz drzwi. Nie chciało mi się przyjmować gości. Doceniałem, że przyszły z tyloma

pysznymi rzeczami, ale nie prosiłem się o to. O nic nie prosiłem. A już na pewno nie o pobyt w Wineley.

– Bardzo dziękuję, że przyszłyście, ale nie ukrywam, że jestem zmęczony po podróży. Ten cały incydent z...

– Och, my wszystko rozumiemy. Niech ja tylko dorwę Austina, to zobaczy! Jak tak można potraktować człowieka? Wytargam go za uszy tak mocno, że narodziny mu się przypomną. – Maribelle uniosła się najbardziej z nich wszystkich, grożąc przy tym palcem.

Szkoda tylko, że nie pozwoliła mi dokończyć.

– Otóż to, otóż to – zawtórowała jej Grace.

– Chciałbym odpocząć. Sam – powiedziałem szybko i stanowczo, by mnie nie prześcignęły i coś do nich dotarło.

Spojrzałem na nie z poważnym wyrazem twarzy. Już naprawdę nie było mi do śmiechu. Potrzebowałem odpocząć, przeanalizować, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin, a potem zasnąć z nadzieją, że to tylko głupi sen.

– Och... Och... No tak. – Grace spuściła wzrok. – Wybacz, że przeszkadzamy. Chciałyśmy cię miło przywitać.

Czemu w taki sposób to zinterpretowała? Przecież... Przecież nie krzyknąłem. Choć chciałem.

– Po prostu jestem zmęczony. Ale to nie oznacza, że wasza wizyta mi się nie spodobała. Dziękuję za miły gest i za to, że chciałyście mnie lepiej poznać. – Wysiliłem się na niemrawy uśmiech, co pewnie bardziej wyglądało tak, jakbym się krzywił.

Podniosły się, podeszły do mnie i mocno przytuliły. Wstrzymałem oddech. Nie przygotowałem się na to psychicznie. Myślałem, że się uduszę przez intensywne perfumy. Delikatnie poklepałem je po plecach i dopiero wtedy odpuściły.

Pożegnały się,abrały swoje torebki, a ja odprowadziłem je do furtki, żeby wszystko pozamykać. Kiedy miałem to z głowy i znalazłem się w domu, pierwsze, co zrobiłem, to wyjąłem z aktówki telefon.

Wszedłem na Messengera i napisałem krótką wiadomość do przyjaciela.

Ja: Skoro masz klucze do mojego mieszkania, to spakuj rzeczy. Muszą wystarczyć mi na cztery miesiące. Wyślij je do Wineley.

Ja: Zaraz podeślę adres.

Stwierdziłem, że później mu wygarnę, że do mnie nie zadzwonił po telefonie dziadka.

Popatrzyłem na stół w kuchni. Uznałem, że przydałoby się to schować do lodówki, a potem się przebrać. Zapowiadał się cudowny wieczór.

Rozdział 2

Świnka Peppa

MAVEN

Ja: Dolecieliście bezpiecznie?

Wysłałem z rana wiadomość do dziadka. Zdawałem sobie sprawę, że pewnie u nich była inna strefa czasowa, ale wierzyłem, że gdy tylko będą mogli, to odpiszą. I, o dziwo, nie czekałem zbyt długo.

Dziadek: Tak, niczym się nie martw, synku.

Dziadek: A ty jak się czujesz? Nadal jesteś na mnie zły?

Nie potrafiłem się na niego złościć, nawet jeśli nie podobało mi się to, co wymyślił.

Ja: Mną się nie martw. Wszystko jest w porządku.

Dziadek: Nie wierzę ci, synku, ale nie będę cię ciągnął za język. Babcia kazała przekazać, że masz pić dużo wody, jeść i dbać o siebie.

Ich troska była dla mnie tak bardzo cenna.

Ja: Dobrze, będę o siebie dbał. Wy też uważajcie. Dzwórcie i piszcie o każdej porze.

Dziadek: Kochamy cię.

Ścisnęło mnie w żołądku. Dziadek i babcia byli jedynymi osobami poza Asherem, które okazywały mi takie uczucia.

Ja: Ja was też.

Po chwili na ekranie wyświetliła mi się wiadomość od kumpla. Westchnąłem cicho, gdy ją odczytałem.

Asher: Masz ochotę mnie zabić?

Ja: Tak.

Asher: Okej, wjechała kropka nienawiści. Rozumiem.

Trochę byłem na niego zły i nie zamierzałem się z tym kryć.

Asher: Ale wiesz co? Uważam, że te cztery miesiące dobrze ci zrobią.

Ja: Nie.

Asher: Mhm, interesująca odpowiedź.

Asher: Twój dziadek mnie poprosił, żebym nic ci nie mówił.

Ja: A ty tak po prostu się zgodziłeś.

Ja: Niesamowicie. Naprawdę.

Asher: Dobra, stary, nie dąsaj się już.

Ja: Nie dąsam się.

Asher: A no tak...

Asher: Po prostu komar ugryzł cię w dupę.

Ja: Nie mam czasu. Zajmij się robotą.

Asher: Złość piękności szkodzi.

Ja: Zaraz tobie zaszkodzi mój gniew.

Wyciszyłem telefon, żeby nikt mi już nie przeszkadzał. Asher wiedział, że zrobił źle. Może nie powinienem się na niego denerwować, ale nic nie mogłem poradzić na to, że przyczynił się do mojego koszmaru. Racja, Wineley słynęło z pięknych, malowniczych miejsc. Nie brakowało też różnego rodzaju festynów, ale zazwyczaj wiało tutaj nudą. Ludzie żyli plotkami. Przekonałem się o tym poprzedniego dnia, gdy do domu wparowały ciotki. Wymieniały imiona kobiet tak, jakby miały na to całkowite przyzwolenie. Nie znałem żadnej z nich. Już nawet nie pamiętałem imion, które padły.

Nie wyspałem się. Ani trochę. Całą noc się wierciłem. Raz było mi gorąco, a raz zimno. Spałem na kanapie, bo nie było opcji, żebym poszedł do sypialni dziadków. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił.

Nie przywykłem do takich rzeczy. Tęskniłem za moim łóżkiem, zimną poduszką i ciszą. No cóż, w Wineley nikomu nie był potrzebny budzik. Kogut piał od samego rana.

A na dodatek nie znalazłem kawy. Chyba woleli pić herbatę, więc musiałem nacieszyć się tylko tym.

Gdy miałem już wsiadać do samochodu, jakiś starszy pan powiedział, że tym Mercedeseś daleko nie zajadę. Racja, asfalt był, ale brakowało go na drogach, po których zazwyczaj jeździł dziadek, aby zająć się zwierzętami. Wołałem nie narażać auta na jakieś usterki. Nie miałem czasu na tułanie się po mechanikach. Poza tym ufałem tylko swojemu. Ten sam pan, który skomentował mój wóz, doradził mi, żebym wziął rower dziadka, który stał z tyłu domu. A ja głupi się na to zgodziłem.

Wyklikałem samego siebie. Chodziłem na siłownię. Dbałem o kondycję. Ale jazda pod górkę w pełnym słońcu mnie pokonała. Wydawało mi się, że zaraz umrę. Ludzie się na mnie gapili jak na skończonego idiotę. Szkoda, że tylko oni mieli z tego ubaw.

Umieram. To już mój koniec.

Kiedy udało mi się wjechać na wzniesienie, to potem już poszło zdecydowanie szybciej. Momentami nawet wiał lekki wiatr.

Śpiew ptaków towarzyszył mi podczas całej trasy od domu do szpitala weterynaryjnego. Co jakiś czas napotykałem mieszkańców, więc witałem się z nimi i starałem się od razu jechać dalej. Rozmowy ze starszymi osobami zazwyczaj zabierały sporo czasu, a ja nie chciałem się spóźnić. Otaczało mnie sporo zieleni, w tym pola uprawne, łąki i drzewa. Okolice była... całkiem urocza.

Po chwili natrafiłem na drogę, gdzie kredą namalowana była gra w klasy. Wydawało mi się, że dzieci w tych czasach przesiadywały więcej w telefonach albo przy komputerze, ale jednak nie. Wiedziałem, że wiele zależało od wychowania. W końcu to rodzice dawali im wzór. W moim wypadku na pewno był to dziadek, choć babcia również przyczyniła się do tego, że stałem się takim, a nie innym człowiekiem.

Niedaleko kliniki zobaczyłem stoisko, gdzie sprzedawano owoce. Stwierdziłem, że kupię coś w czasie przerwy. Zatrzymałem się przy budynku. Zszedłem z roweru i zostawiłem go w bezpiecznym miejscu. Miałem nadzieję, że w Wineley nie szlajali się jacyś złodzieje.

Zabrałem moją aktówkę, miałem już wyciągać klucze z kieszeni, ale okazało się, że drzwi już zostały otwarte. Uniosłem brwi w zdziwieniu. Przy drzewie dostrzegłem jeszcze jeden rower. No tak, przecież dziadek miał asystenta. Wszedłem do środka i przy recepcji natrafiłem na spojrzenie ciekawskich brązowych tęczówek. Uderzył we mnie szeroki i promienny uśmiech faceta, który był najprawdopodobniej trochę młodszy ode mnie. Jego jasne loki przypominały sprężynki. Podniósł się gwałtownie z krzesła, a ja postawiłem instynktownie jeden krok do tyłu, jednak zaraz się zreflektowałem.

– Zapewne wiesz, że będziemy ze sobą pracować przez około cztery miesiące. Maven Namgung – przedstawiłem się i wystawiłem dłoń w jego stronę.

– Cole Sullington. – Ucisnął moją dłoń i nią potrząsnął. – To zaszczyt móc z panem pracować.

Starałem się nie pokazywać po sobie, że jego pozytywna energia mnie przytłacza. Czemu wszyscy w tej wiosce się uśmiechali? Naprawdę prowadzili tak cudowne życie? Nie mieli poza uśmiechami żadnych innych reakcji? Nie musieli być dla mnie aż tacy mili. Doceniałem to, ale wołałem neutralne podejście. Większość znała mnie tylko z opowieści dziadków.

– Dziękuję, mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracować – odrzekłem i wysunąłem dłoń z jego uścisku, który trwał już zdecydowanie za długo. – Od czego zazwyczaj zaczyna dziadek? – zapytałem, gdy przeszedłem do głównego gabinetu.

Zostawiłem aktówkę na krześle, a z kieszeni wyciągnąłem telefon i położyłem go na biurku. Podeszedłem do okna i je uchyliłem, by przewietrzyć tę duchotę, a potem chwyciłem sznureczek, żeby zasunąć rolety. Wpadało zdecydowanie za dużo słońca.

Obróciłem się przodem do młodego, czekając, aż mi odpowie. Nerwowo bawił się skuwką od długopisu. Skrzyżowałem ręce na torsie. Popatrzyłem na zegarek, który oplatał mój nadgarstek. Udało mi się. Nie spóźniłem się. Dwie minuty przed czasem.

– A więc? – odezwałem się.

– Proszę mi wybaczyć – szepnął, a ja skinąłem głową. – Zazwyczaj gdy jest już coś zaplanowane, to od razu jedzie do pacjentów, żeby wcześniej skończyć pracę. Ale musi pan być przygotowany na to, że nagle ktoś zadzwoni i będzie trzeba jeszcze gdzieś pojechać.

– To zrozumiałe – stwierdziłem. Ale zaraz coś do mnie dotarło. – Chwila, moment. Czyli nawet w nocy dziadek gdzieś jeździ?

– No cóż, kozy czasami rodzą w nocy. Krowy tak samo. O kłaczach już nie wspomnę. Z tym nie wolno czekać.

Dziadek nie powinien aż tak się przemęczać. Zdecydowanie potrzebował drugiego weterynarza do pomocy.

– A ty pracujesz tylko na recepcji czy też pomagasz?

– Pomagam, ale nadal się uczę. Pan Ji-Yul woli robić wszystko sam.

Skąd ja to znam?

– Dobrze, więc gdzie dzisiaj jadę?

– Do pani Noli. Trzeba zaszczyć prosiaki.

No i zaczynają się kłopoty.

Przełknąłem z trudem ślinę.

Nie robiłem tego od bardzo dawna. Jak niby miałem sobie z tym poradzić? Domyślałem się, że to nie były dwa albo trzy prosiaki, tylko zdecydowanie więcej. Nie chciałem zrobić krzywdy tym zwierzętom. Skoro Cole jeszcze się uczył, obawiałem się, że nie zechce mi pomóc. Poza tym ktoś musiał zostać pod moją nieobecność i odbierać telefony. Sam stwierdził, że mogliśmy się ich spodziewać w każdej chwili.

Nie wypilem kawy, a nagle podniosło mi się ciśnienie.

– Prosiaki? Gdzie mieszka pani Nola?

– Niedaleko domu Elodie.

Nic mi to nie mówiło.

– Jaśniej – poprosiłem.

– Ach, no tak, przecież pan nikogo tutaj nie zna. – Zaśmiał się nerwowo, a ja odniosłem wrażenie, że to był przytyk rzucony w moim

kierunku. – Elodie mieszka naprzeciwko domu pana dziadków. Za to pani Nola trzy domy dalej na prawo – wyjaśnił.

Powiedzmy, że zrozumiałem.

Zejdę na zawal. Wizja ponownej jazdy na rowerze tą piekielną trasą nie napawała mnie optymizmem. Na co ja się zgodziłem? Przecież to przypominało igrzyska śmierci, ale wersja Wineley.

– Szczepiłeś już świnię? – zapytałem, mając nadzieję, że znajdę wyjście z tej sytuacji.

– Nie. To robota dla pana, panie Namgung – powiedział z nutą rozbawienia w głosie, żeby zaraz zająć miejsce przy recepcji.

Jak to nie szczepił, skoro był asystentem dziadka? *Dziwne, ale niech będzie.*

Mój pomysł szybko znalazł się w koszu. Świetnie. Coś jeszcze chyba pamiętałem. Dziadek wielokrotnie mi pokazywał, jak przebiegał cały proces szczepienia.

– Możesz mówić do mnie po imieniu. Tak będzie wygodniej.

Pokazał mi uniesionego kciuka.

– Zapamiętam.

– Wiesz może, gdzie dziadek...

Nie dokończyłem, bo Cole podszedł prędko do jednej z szaf, wyjął duży czarny plecak i rzucił nim we mnie. Złapałem go, ale okazał się tak ciężki, że aż coś mi strzyknęło w kręgosłupie. Zdusiłem w sobie chęć jęknienia z bólu.

– Masz tam wszystko, co ci się przyda przy szczepieniu. A, i bądź ostrożny. Prosiaki słyną z dużej paniki, więc nie zdziw się, jak jakiś będzie chciał cię ugryźć.

Super. Właśnie na to czekałem. Na pogryzienie przez małego prosiaka. Moje marzenie.

– Dzięki za ostrzeżenie – mruknąłem.

– Jakby co, pani Nola ma teraz spotkanie z Kobietami Sukcesu w Wineley. Najlepiej, jak wyjedziesz za jakieś dwie godziny. Zawsze woli być

gdzieś niedaleko, gdy coś dzieje się z jej zwierzętami. Może jak dopisze ci szczęście, to ci pomoże.

Kolejna rzecz, o której nie miałem bladego pojęcia. Strasznie dużo mnie ominęło.

- Z kim ma spotkanie? – zapytałem, marszcząc czoło.

- To takie zgromadzenie prowadzone przez kobiety, które wiele osiągnęły albo nadal osiągają, mieszkając w Wineley. Na przykład taka Elodie. Prowadzi swój biznes. Albo Ophelia... Pani Nola za to jest skarbnicą wiedzy i doświadczeń. Swoją drogą, to najbardziej komfortowa inicjatywa stworzona w Wineley. Należy się tym wspaniałym kobietom jak nie wiem co.

Powiedzmy, że zrozumiałem. Ale z jednym mogłem się zgodzić. Ciekawy pomysł i na pewno podbudowywał mieszkanki tej wioski. Kobiety zdecydowanie potrzebowały zwiększać pewność siebie. Niestety, ale często mężczyźni stali za tym, że czuły się nic nieznaczące, słabe, gorsze i głupsze. Społeczeństwo też w tym wypadku dodawało od siebie. Przytyki, niezbyt miłe komentarze. To wszystko sprawiało, że zamykały się w sobie i uważały, że nie są w stanie osiągnąć tak wiele, co mężczyźni. A niektóre po takich czynach i słowach brały się w garść i udowadniały sobie, a przy okazji innym, do czego były zdolne.

- Gdzie tutaj można się napić kawy?

- Pan Ji-Yul nie pije kawy.

Myślałem, że chociaż Cole to robi.

- Ale ja jestem Maven – odparłem burkliwie.

- To masz problem, Mavenie. Mogę zrobić ci herbaty, chcesz? – Obrócił się w moją stronę.

Zacisnąłem wargi w cienką linię. Dziadek odebrał mi nawet kawę, od której pewnie byłem uzależniony, bo zawsze zaczynałem z nią dzień. Nie wyobrażałem sobie takiego funkcjonowania.

- Podziękuję – mruknąłem niepocieszony.



Dwie godziny później zdecydowałem się wyruszyć. Plecak ważył parę dobrych kilo. Mieszkanie na wsi zastępowało siłownię. Podziwiałem dziadka za to, że dawał sobie radę. Ogarniał naprawdę wiele spraw, choć w jego wieku powinien bardziej na siebie uważać. Powtarzałem to wielokrotnie, ale łączyło nas jedno. Upór. Bardzo duży upór. Mieliśmy swoje zasady i rzadko kiedy ktoś potrafił przemówić nam do rozumu. U dziadka była to babcia, a u mnie... Ja takiej osoby jeszcze nie znalazłem i nie zanosiło się na to.

Jazda na rowerze mogłaby być przyjemna, oczywiście, że tak. Ale taka się nie okazała. Dlaczego? Bo jechałem na skazanie. W cholerny upał.

Mam dość. Mam po prostu dość. A dzień jeszcze dobrze się nie zaczął. Niestety, ale słońce świeciło najmocniej. Zabrałem ze sobą małą butelkę wody. Co jakiś czas stawiałem, żeby chwilę odpocząć. Pot spływał mi po skroniach, a kosmyki włosów przyklejały się do czoła. Nienawidziłem takiego gorąca. Już chyba wołałbym deszcz.

Zostało mi jeszcze pięć domów do ominięcia, a ja czułem się, jakby czekało ich jeszcze drugie tyle. Nie nadawałem się do pracy na wsi. Na co dzień leczyłem małe zwierzątka. Psy, koty, chomiki, świnki morskie, króliki. Ale nie zwierzęta, których nie dało się czasami nawet złapać. Szczepienie samo w sobie nie było straszne. Za to ganiecie za świnią i przytrzymanie ich – już tak. Dziadek wiele mnie nauczył za dzieciaka, a potem to pielęgnował, ale ja za wszelką cenę próbowałem wyprzeć to z pamięci, bo kojarzyło mi się z Wineley.

Gdy dojechałem pod dom należący do pani Noli, odetchnąłem z wyraźną ulgą. Z trudem zszedłem z roweru. Brama została otwarta, więc po prostu wszedłem na podwórko.

Podskoczyłem, gdy dookoła rozniosło się warczenie i szczekanie psa. *Chryste, jeszcze tego mi brakowało.* Nie powinienem bać się zwierząt, ale psy bywały niebezpieczne, gdy chroniły własnego terytorium. Pewnie na

dziadka nigdy tak nie zareagował, ale mnie nie znał. Mój zapach był dla niego obcy. Wychyliłem się lekko z szybko bijącym sercem. Przypominał trochę owczarka niemieckiego. Popatrzył na mnie i zaszczekał jeszcze raz.

– Ares, psinko, uspokój się. To tylko doktor. Nic złego ci nie zrobi – usłyszałem troskliwy i ciepły ton głosu, który należał zapewne do pani Noli.

Kobieta zakryła głowę kolorową chustą. Biała bluzka z krótkimi rękawami dodawała trochę neutralności kwiecistej spódnicy i klapkom. *Skądś ją kojarzę...*

Rower postawiłem przy domu. Podeszedłem do kobiety, a gdy ta podała mi dłoń, delikatnie ucałowałem jej wierzch. Właśnie tak starałem się okazać szacunek kobietom. Tej zasady nauczył mnie nie kto inny jak dziadek.

W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Kręciło mnie przez to w nosie, ale nie narzekałem. Szybko zauważyłem, że pani Nola bardzo dbała, żeby było ładnie. Nie zabrakło nawet hamaka oraz huśtawki, którą ustawiono w cieniu.

– Maven, miło mi panią poznać.

– Mów do mnie po imieniu, dziecko – poprosiła.

– Dobrze, zapamiętam.

– Przyjechałeś sam? Jak ty ogarniesz tyle prosiaczków? – Spojrzała na mnie zdziwiona.

Dobre pytanie. Sam nie wiedziałem, jak to zrobić. Byłbym durniem, gdybym poprosił o pomoc starszą kobietę. I to jeszcze w taki upalny dzień. Bywałem gburem, ale nie aż takim.

– Poradzę sobie. Proszę się o to nie martwić.

– Czekaj, najpierw coś zjesz. Jadłeś śniadanie? Albo jakiś lunch?

– Zjadłem śniadanie. Lunch zjem później. Nie musi pani... Znaczący... nie musisz niczego dla mnie przygotowywać.

– Na pewno? Nie chcę, żebyś mi tutaj zemdłał. Trochę się przy tym zejdzie.

– Na pewno. W razie czego krzyknę, jeśli będę czegoś potrzebował – obiecałem, patrząc jej prosto w oczy, żeby zauważyła, że nie kłamałem.

– Niech ci będzie. – Machnęła ręką. – Chodź za mną. Wszystko ci zaraz pokażę.

Ruszyłem za Nolą. Przeszliśmy przez podwórkę, otworzyła drewnianą furtkę, która nieco zaskrzypiała. Kobieta siłowała się z nią przez pewien czas, a gdy zaoferowałem pomoc, fuknęła na mnie, więc szybko się wycofałem. Poszliśmy dalej. Trawa tutaj rosła, jak chciała. Chyba rzadko kiedy ją koszone, ale ważne, że na podwórku panował porządek. Przeszliśmy przez wydeptaną ścieżkę. Do moich uszu dobiegło kwiczenie, więc domyśliłem się, że zbliżamy się do moich nowych „koleżanek”.

Weszliśmy do chlewni. Spodziewałem się brudu, ale pani Nola nie tylko dbała o podwórkę, ale też o to, by jej zwierzętom żyło się jak najlepiej. Ceniłem takich ludzi. Poprawiłem plecak, który trochę zsuwał się z moich ramion.

– Tutaj są wszystkie prosięta.

Popatrzyłem na stado małych świni, które ganiały się, kwiczały, niektóre nawet po sobie skakały, a jeszcze inne spokojnie leżały albo spały.

Po cichu zacząłem je liczyć, ale po dziesiątej zaprzestałem, bo bałem się, że się całkowicie załamie.

– Słabo mi – powiedziałem sam do siebie.

– Hm? – Kobieta obróciła głowę w moją stronę.

– Nic, nic. Tak do siebie mówiłem, że czeka mnie sporo pracy – skłamałem.

– Będziesz musiał zmienić buty. Takie eleganckie sobie pobrudzisz. To nie miasto, dziecko kochane. – Złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Ma pani może jakieś kalosze?

Skarciła mnie wzrokiem, bo znowu zwróciłem się do niej na „pani”, ale nie potrafiłem inaczej.

– Tak, zaraz ci przyniosę. A ty w tym czasie przygotuj sobie wszystko.

Gdy kobieta odeszła, zsunąłem plecak i postawiłem go na ziemi. Wyjąłem z niego szczepionki i strzykawkę automatyczną. W drugiej komorze znalazłem coś jeszcze. Opakowanie z białym kombinezonem. Myślałem, że będzie tylko jeden, ale dziadek przygotował też i drugi. Czyli stwierdził, że sam sobie nie poradzę.

Pozbyłem się zegarka i schowałem go do plecaka. Wyjąłem z opakowania kombinezon. Obawiałem się, że się uduszę w nim przez ten materiał, który raczej nie przepuszczał powietrza. Włożyłem go na siebie, a potem jeszcze rękawiczki, które najpierw mocno naciągnąłem, żeby było mi łatwiej. W takim stroju tylko moja twarz pozostawała widoczna. Przygotowałem już pierwszą szczepionkę, żeby od razu przejść do rzeczy.

Nola podeszła do mnie z kaloszami. Pozbyłem się moich butów, aby wsunąć gumiaki. Starsza kobieta zachichotała pod nosem, gdy przyjrzała mi się uważnie. Miała sporo powodów do śmiania. Wyglądałem komicznie. Asher zszedłby ze śmiechu, gdyby zobaczył mnie w takiej odświeżeniu.

– Powodzenia, dziecko. W razie czego wołaj – poprosiła, a ja skinąłem głową.

Wyszła z chlewni, więc wziąłem się do roboty.

Chwyciłem automatyczną strzykawkę i opakowanie ze szczepionkami. Przeszedłem przez barierki, żeby wejść do świń. Spojrzałem na nie. *Spokojnie. To tylko małe, urocze zwierzęta. Nic ci nie zrobią. Jesteś weterynarzem.*

Zostawiłem wszystko z dala od nich. Wyprostowałem się, wziąłem w garść, obrałem sobie jedno prosię za cel. Wystawiłem ręce i podbiegłem do niego, ale uciekło mi sprzed nosa. Biegałem w kółko, aż zakręciło mi się w głowie.

– No zatrzymaj się – syknąłem pod nosem.

Jak się przywołuje świnię? Zacząłem cmokać, licząc, że to coś da.

– Nic ci nie zrobię. Nic cię nie zaboli, możesz mi zaufać. – Rzuciłem się na jedną z nich, myślałem, że już ją mam, ale jedyne zaliczyłem głębę.

Moja twarz się wykrzywiła, gdy dotarło do mnie, że to dopiero jedna niezłapana świnka, a ja już zdążyłem ubrudzić kombinezon. Podniosłem się szybko. Przymrużyłem oczy. Narodziła się we mnie jakaś nowa, lepsza energia. Zagoniłem do rogu jednego prosiaka, a wtedy złapałem mocno, zaciskając palce. Zaczął się rzucać na wszystkie możliwe strony. Kwiczenie stawało się nie do zniesienia. I zanim dotarłem do miejsca, gdzie leżały szczepionki, ten diabeł w ciele świnki wyslizgnął się z moich rąk.

– Mam dość. Mam dość. Mam dość – wyszczałem. – Co to ma być? – oburzyłem się. Popatrzyłem na prosiaki i dodałem: – Jesteście wredne, wiecie? To tylko szczepienie. Nie zamierzam was jeść, więc współpracujcie, błagam. Im szybciej zrozumiecie, że to dla waszego dobra, tym lepiej dla mnie i dla was. Po co mamy się męczyć?

Jedno z nich zakwiczało, a ja prychnąłem urażony.

– Mhm, czyli nie będziecie współpracować? Świetnie.

Uniosłem głowę, podszedłem do barierki i oparłem się o nie. A wtedy się zorientowałem, że przyglądało mi się dwoje dzieci. Mała dziewczynka, która szczyrzyła się od ucha do ucha, a jej jasne włosy związane były w dwa urocze kucyki, oraz chłopczyk, który właśnie dzielił się z nią cukierkami. Ich na pozór urocze twarze były skierowane w moją stronę. Przyglądali się oceniającym wzrokiem. Czupryna ciemnych włosów chłopczyka trochę musiała mu przeszkadzać, bo co jakiś czas ją poprawiał.

Musieli bawić się akurat tutaj, gdy ja prowadziłem walkę na śmierć i życie? I gdy próbowałem dogadać się z tymi wredotami?

– Doktoł się boi świnek? – zapytała słodkim głosem dziewczynka.

Hę? Że ja?

– Lottie, na pewno nie. W końcu to doktor – stwierdził młody.

Już go lubię.

– Nie złapał ani jednej – dodała jeszcze, a mnie aż zabolalo ego. – Przecież to taka Świnka Peppa. Tylko że jest ich więcej.

– Nie boję się świń. Po prostu są szybkie – wytłumaczyłem.

– Mhm, jasneee – przeciągnęła ostatnią literę. Kołysała się w zabawny sposób na boki. – Moja mamusia od lazuby złapała taką świnkę – pochwalała mamę.

– Ach, tak? To ciekawe. A twoja mamusia też jest weterynarzem?

– A pan na pewno nim jest?

– Nie widać?

– Nie za baldzo. – Wzruszyła ramionami.

Auć, moje ego. Po raz kolejny. Auć. Ale chociaż była szczerą.

– Jak macie na imię?
– Challotte. Ale wolę, jak ktoś do mnie mówi Lottie – poprosiła.
Spojrzałem na chłopczyka, który wcinał kolejnego cukierka.
– Marshall. A pan jak ma na imię?
– Maven. Możecie do mnie mówić po imieniu. – Wykrzesalem z siebie delikatny uśmiech. – Znacie kogoś, kto mógłby mi dzisiaj pomóc? – Popatrzyłem na nich z nadzieją.

Tak, właśnie poprosilem o pomoc małe dzieci, które mogły mieć nie więcej niż cztery lata. Zabłysszczałem inteligencją. Nie powiem, że nie.

Te małe gamonie pokiwały ochoczo.

– Już idziemy po pomoc! – krzyknęła dziewczynka i pociągnęła Marshalla za sobą.

Poczułem przypływ nagłej ulgi. Sam robiłbym to do wieczora. Musiałem schować dumę do kieszeni i pozwolić, żeby ktoś mi pomógł. Choć zdecydowałem się z na to bólem serca.

Nie czekałem długo. Lottie szła z kimś za rękę. Spodziewałem się jakiegoś mężczyzny. Na przykład jej taty, starszego brata albo wujka, a ona przyprowadziła... kobietę. Młodą kobietę. Na dodatek dziewczynka strasznie ją przypominała. Kopia mamy. Czyli przyprowadziła swoją wspaniałą mamusię, którą tak bardzo zachwalała. *Moje ego zostało właśnie zdeptane.*

Blond włosy zostały spięte klamrą w kształcie różowego kwiatu. Bluzka na cienkich ramiączkach przylegała do jej ciała, mały dekolt w serek zwieńczony został białą kokardką. Miała na sobie szare dresy, a na nogach kalosze. Przesuwałem powoli wzrokiem. Dotarłem do twarzy. Uroczej twarzy. Lekko zadarty nos, pełne wargi rozciągnięte w życzliwym uśmiechu. Mogłbym się pokusić o stwierdzenie, że wyglądała naprawdę młodo. Jej skóra już z daleka wydawała się bardzo delikatna. Na sam koniec skupiłem się na oczach, gdy nawiązała ze mną kontakt wzrokowy. Błękitne, iskrzące się tęczówki, w których wręcz żyła dobroć. Aura, która ją otaczała, uderzała we mnie w przedziwny sposób.

Przesadzasz. Nie gap się. Wyjdziesz na idiotę.

Otrząsałem się w odpowiednim momencie. Wolałem nie podawać rąk przez ten kombinezon, bo był brudny, więc takie przywitanie zostawiłem na później.

– Lottie mówiła, że potrzebujesz mojej pomocy.

W końcu ktoś, kto nie mówił do mnie na „pan”. Miła odskocznia.

– Zgadza się. Przyjechałem z miasta i... jak możesz się domyślać, tam świń nie przyjmuję.

Próbowałem zażartować. Chyba nie wyszło. *Brawo, Maven.*

– Nie ma problemu. Zaraz weźmiemy się do roboty. Babcia powiedziała, że zostajesz na obiad, więc do trzeciej musimy się z tym uwinąć – oznajmiła. – Lottie, idź się pobawić z Marshallem na podwórku. To nie jest miejsce dla was, okej? Tutaj możecie się bawić, gdy ktoś na was patrzy. Na podwórku babcia będzie miała na was oko.

– Dobrze, mamusiu.

Dziewczynka ułożyła usta w dzióbek, kobieta nachyliła się nad córką i dała buziaka. Za to Marshalla mocno wyściskała. Gdy dzieciaki pobiegły, a tym samym zostaliśmy sami, pokazałem, że ma jeszcze jeden kombinezon. Po założeniu go pomogłem jej z rękawiczkami.

– Jestem Elodie.

Ta Elodie? Ta, o której już tyle usłyszałem, choć nie minęła nawet pełna doba?

– Maven.

Podeszła do mnie i podała automatyczną strzykawkę ze szczepionką.

– Sporo osób już o tobie mówi. Ale miło poznać cię osobiście.

– To aż taka nowina, że przyjechałem?

– Plotki szybko się rozchodzą. Musisz być na to przygotowany. – Parsknęła śmiechem. – Okej, bierzmy się do roboty. Ja będę łapać, a ty będziesz wstrzykiwał. Pasuje ci?

– Jak najbardziej – przyznałem.

Pozwoliłem jej przejąć pałeczkę. O wiele lepiej знаła się na tych zwierzętach niż ja i było to widać od samego początku. Z pomocą kobiety szło

zdecydowanie sprawniej. Gdy chwyciła jednego prosiaka, nie puściła go nawet wtedy, gdy próbował się wyrwać. Ja zapewne już bym się poddał. Przytrzymała go za raciczki, żebym mógł odhaczyć swoją robotę.

Po zaszczepieniu prosiaka Elodie odkładała takiego delikwenta w drugiej części boksu pomiędzy barierkami, żeby nam się nie myliły i nie wymieszały. Po dziesięciu takich prosiętach zrobiliśmy sobie przerwę.

– Twoja córka cię pochwaliła. Stwierdziła, że ty zrobiłabyś to lepiej ode mnie – zacząłem temat.

Elodie popatrzyła na mnie, mrużąc lekko powieki.

– I co? Zgadzasz się z nią?

– Zdecydowanie tak.

Zaśmiała się dźwięcznie.

– Najwidoczniej mam talent.

– Do łapania zwinnych prosiaków?

– Powinnam dostać jakąś naklejkę w nagrodę, nie uważasz?

– Hmm... – Udawałem, że się zastanawiam. – Nie – sarknąłem.

– Doktor zniszczył moje marzenia. Nieładnie. – Cmoknęła niezadowolona.

– A twoja córka zniszczyła moje marzenia o byciu niezależnym – odbiłem piłeczkę.

– Przecież to tylko podobieństwo do Peppy. Wystarczyło do nich mówić – zironizowała.

– Lottie to fanka *Świnki Peppy*? – zgadywałem.

– Woli *Klub Winx*, ale tym też nie pogardzi. Jakbyś z nią obejrzał, może byś się aż tak nie bał – stwierdziła kąśliwie, trzepocząc przy tym niewinnie rzęsami.

Rozmawiało mi się z nią bardzo swobodnie. Nie wypytywała o moje prywatne życie, dziadka, nie zbierała informacji na mój temat. Zbyt szybko się zraziłem przez wizytę ciotek, ale chyba każdy na moim miejscu przybrałby podobny tok myślenia.

– Dzieci kochane, ile wam tam jeszcze zostało?! – krzyknęła pani Nola.

- Babciu, daj nam pół godziny, dobra?
- Najwyżej będziecie jeść zimne! – pogroziła.

Wróciliśmy do obowiązków, żeby nie denerwować babci Elodie. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Skupiliśmy się na pracy i wyszło nam to na dobre.

Po wszystkim pozbyliśmy kombinezonów, które po walce z tymi dzikimi prosiętami już do niczego się nie nadawały. Schowałem resztę rzeczy do plecaka, który stał się lżejszy, więc podróż do szpitala zapowiadała się zdecydowanie milej.

– Dziękuję, że mi pomogłaś – odparłem, gdy zmierzaliśmy ku wyjściu z chlewni.

Elodie sięgnęła do klamry i rozpuściła włosy. Dzięki temu zauważyłem, że były podatne na lekkie kręcenie.

– Prośenie o pomoc nie jest chyba takie złe, co? – nabijała się ze mnie.

– Nie, skądże.

– Ale męska duma zabolą? – ciągnęła mnie za język.

– Tak troszeczkę. – Zbliżyłem do siebie kciuka i palec wskazujący, pokazując jej, ile dla mnie oznaczało „troszeczkę”.

– Myślę, że więcej niż troszeczkę, ale niech ci będzie.

Dotarło do nas narzekanie pani Noli:

– Bo naprawdę zaraz to wszystko wystygnie. W ogóle się nie spieszą. Te świnki mają w sobie więcej energii niż ta dwójka.

– Oj, babciuuu, bez przesady. – Lottie zachichotała.

– Pan doktor pewnie coś sobie zrobił i ciocia mu pomaga – oznajmił Marshall.

Mhm, czyli już mieli mnie za niezdarę, bo jeden jedyny raz wywróciłem się na ich oczach. Pięknie!

Elodie popatrzyła na mnie, a na jej twarzy zawitał zadziorny uśmiezek.

– Od teraz jestem rycerzem na białym rumaku? – Szturchnęła mnie.

– A ja damą z opresji?

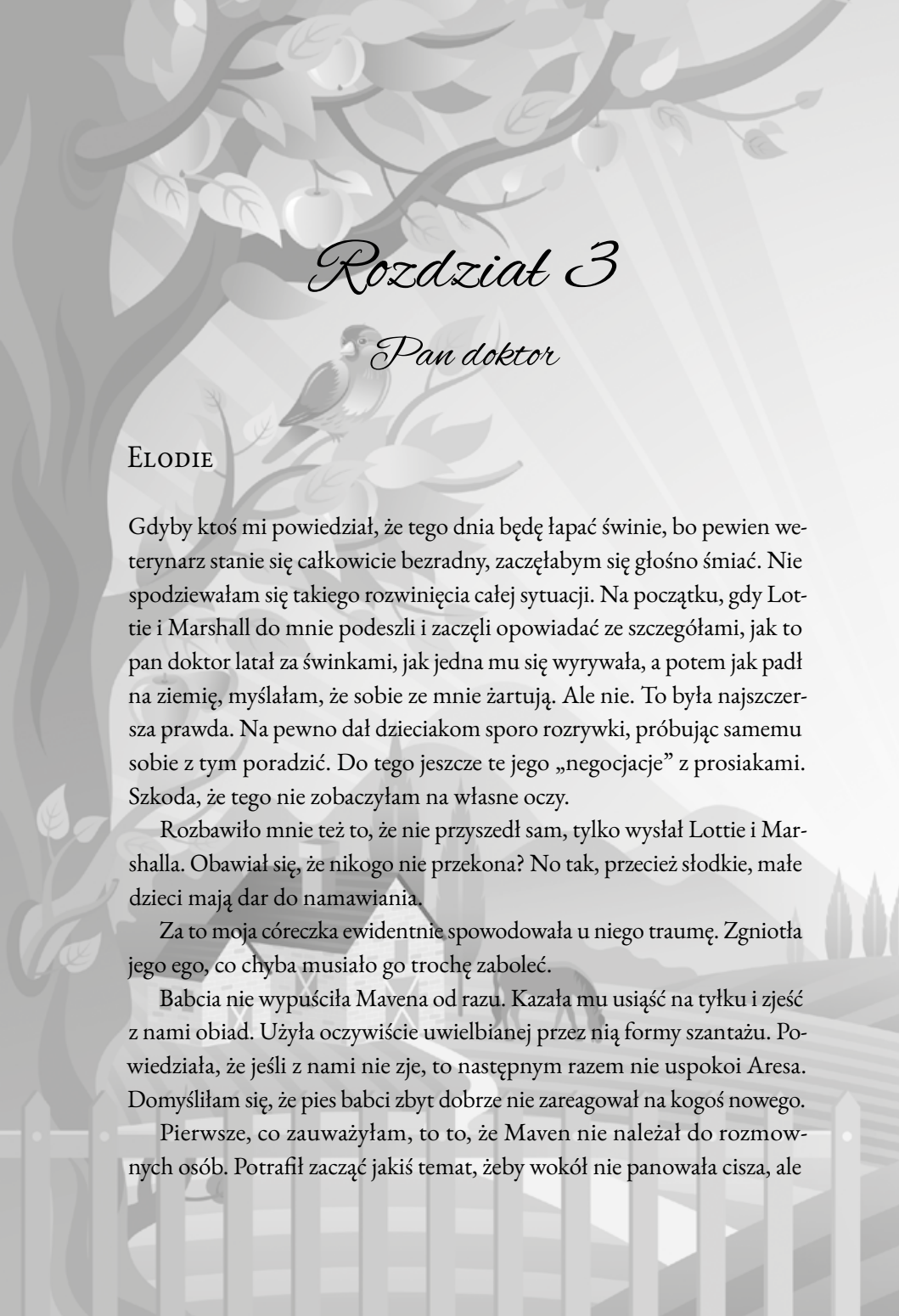
– Czemu by nie? Coraz częściej odchodzi się od takich stereotypów. Nawet kobieta może stać się rycerzem.

Przyjrzałem się jej i po chwili zawahania skinąłem głową.

– Następnym razem postaram się nie prosić o pomoc rycerki.

– Mam lepszą poradę. Następnym razem nie gadaj do świń albo innych zwierząt w taki sposób, jakbyś chciał je zaszantażować – zażartowała.

Czyli te dwa gamonie wszystko wyśpiewały.



Rozdział 3

Pan doktor

ELODIE

Gdyby ktoś mi powiedział, że tego dnia będę łapać świnię, bo pewien weterynarz stanie się całkowicie bezradny, zaczęłabym się głośno śmiać. Nie spodziewałam się takiego rozwinięcia całej sytuacji. Na początku, gdy Lottie i Marshall do mnie podeszli i zaczęli opowiadać ze szczegółami, jak to pan doktor latał za świnkami, jak jedna mu się wyrwała, a potem jak padł na ziemię, myślałam, że sobie ze mnie żartują. Ale nie. To była najszczerza prawda. Na pewno dał dzieciakom sporo rozrywki, próbując samemu sobie z tym poradzić. Do tego jeszcze te jego „negocjacje” z prosiakami. Szkoda, że tego nie zobaczyłam na własne oczy.

Rozbawiło mnie też to, że nie przyszedł sam, tylko wysłał Lottie i Marshalla. Obawiał się, że nikogo nie przekona? No tak, przecież słodkie, małe dzieci mają dar do namawiania.

Za to moja córeczka ewidentnie spowodowała u niego traumę. Zgniotła jego ego, co chyba musiało go trochę zaboląć.

Babcia nie wypuściła Mavena od razu. Kazała mu usiąść na tyłku i zjeść z nami obiad. Użyła oczywiście uwielbianej przez nią formy szantażu. Powiedziała, że jeśli z nami nie zje, to następnym razem nie uspokoi Aresa. Domyśliłam się, że pies babci zbyt dobrze nie zareagował na kogoś nowego.

Pierwsze, co zauważyłam, to to, że Maven nie należał do rozmownych osób. Potrafił zacząć jakiś temat, żeby wokół nie panowała cisza, ale

z czasem wyłączał się z tych pogawędek. Szczególnie było to widać przy stole, gdy wszyscy siedzieliśmy razem. Wcześniej zachowywał się bardziej naturalnie. Gdy byliśmy we dwoje. No ale to może wina tego, że znajdował się w towarzystwie starszej osoby? Nadal nie nauczyłam się czytać w myślach, choć z chęcią przyjąłabym taką umiejętność.

Po posiłku zapakowała mu jeszcze szarlotkę, która została zrobiona przeze mnie. Miałam nadzieję, że naszemu miastowemu posmakuje ciasto zrobione z pasją.

Gdy już miał odjeżdżać, podziękował mi jeszcze ze dwa razy za pomoc. Nie czułam, że zrobiłam coś wielkiego, ale miło było usłyszeć wdzięczność w głosie tego mężczyzny, który ewidentnie wydawał się zagubiony w tym małym miasteczku.

Nawet Lottie do niego podeszła. Zaśmiałam się cicho, gdy zauważyłam, że chciała z nim przybić żółtika. Mężczyzna popatrzył na mnie zdezorientowany, ale po chwili się zreflektował i zrobił to, czego oczekiwała moja córka.

– Nie jest pan taki zły. Musi doktór po prostu poćwiczyć łapanie świnek – oceniła Mavena.

Zasłoniłam dłonią usta. Powstrzymałam się od śmiechu, bo chyba nie powinno mnie bawić to, że moja córka bez żadnych ceregieli oceniła w taki sposób pracę Mavena.

Mężczyzna uklęknął przed Charlotte.

– Czyli uważasz, że jest we mnie jakaś nadzieja?

Rzykowne pytanie.

– W sumie tooo... Tak, ale taka malutka. Musisz bardziej się postarać.

Maven spojrzał na mnie kątem oka, a ja rozłożyłam ręce. No cóż mogłam poradzić? W końcu oceniała go najlepsza ekspertka w Wineley.

Dopiero teraz mogłam mu się lepiej przyjrzeć. Wcześniej nawet nie miałam okazji, bo oboje byliśmy w tych śmiesznych kombinezonach. Wyglądaliśmy w nich jak ufoludki.

Ludzie mieli rację. Przypominał doktora Ji-Yula. Z tym mogłam się zgodzić. Rozpowiadali także, że musiał mieć niezłe powodzenie. Zakładałam,

że tak. Był przystojnym mężczyzną. Jego uroda na pewno przyciągała i sprawiała, że chciało się na niego dłużej popatrzeć. Nie miałam zamiaru wprawiać go w dyskomfort, więc tylko przejechałam wzrokiem po całej jego sylwetce, ale w sposób niezbyt nachalny.

Ciemne kosmyki włosów momentami opadały mu na czoło. Brązowe oczy sprawiały, że człowiek czuł się tak, jakby zaglądał w duszę. A gdy poruszał rękoma, dało się dostrzec na nich żyły. Lniana koszula na krótki rękaw podkreślała jego atletyczną sylwetkę, a spodnie optycznie sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy. Wokół Mavena tworzyła się nieznana mi dotąd aura. Coś, co mogło budzić respekt, poszanowanie i chęć porozmawiania z nim przez chociaż parę minut. Rzadko kiedy ktoś sprawiał takie wrażenie. I choć nie należał do rozmownych ludzi, to nie nazwałabym go gburem, mimo że kochane ciotki już dość mocno go oceniły. Niezbyt pochlebnie.

Marshall zbił piątkę z Mavem. Mężczyzna wyprostował się i otrzepał lekko spodnie.

– Jeszcze raz dziękuję, że mi pomogłaś.

– Nie ma za co. Może kiedyś ja będę potrzebować pomocy? Wtedy zawołam – zażartowałam.

Nie oczekiwałam niczego w zamian. Pomagałam bezinteresownie. Tego mnie nauczono.

– Oczywiście. Z chęcią uratuję rycerza – nawiązał do naszej poprzedniej rozmowy.

– Mamusia jest królową, a nie lycerzem – zganiła go Lottie.

– A ty jesteś księżniczką? – Przeniósł na nią spojrzenie. Charlotte pokiwała z zadowoleniem głową. – Czyli przydałaby ci się jakaś korona – stwierdził.

Myślałam, że się uśmiechnie, ale kąciki jego ust ledwo co się uniosły. Radość czaiła się jedynie w jego oczach, chociaż starał się to zaszyfrować. Spojrzenie mówiło wszystko. Przekonałam się o tym wielokrotnie.

– Miło się z tobą rozmawiało, księżniczko, ale muszę wracać do rycerskich obowiązków. – Ukłonił się przed nią w teatralny sposób.

Lottie dygnęła, jak w bajkach o księżniczkach, a spomiędzy jej ust uleciał chichot, który mógł leczyć wszystkie rany.

Maven zabrał rower, pomachał jeszcze do dzieciaków, a ja na pożegnanie skinęłam głową. Poczekaliśmy, aż wyjedzie. Kiedy zostałyśmy same, bo Marshall poszedł do babci Noli, chwyciłam córeczkę pod pachy i zaraz wzięłam na ręce.

– Dlaczego byłaś taka uszczypliwa dla pana doktora?

Moja córka popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym właśnie powiedziała największą głupotę świata.

– Bo bał się świnek.

– Ach, no tak, to bardzo dobry argument – parsknęłam. – Możesz się z niego czasami ponabijać, ale nie aż tak, dobra? Znalazł się w nowej sytuacji. U siebie leczył mniejsze zwierzątka. My mamy to na co dzień, on niekoniecznie – wytłumaczyłam czule.

– To mógł przyjeżdżać. Co to za problem?

Podeszłam z małą do huśtawki. Posadziłam ją i usiadłam obok. Lottie przesunęła się do mnie, objęłam ją ramieniem, by mogła się przytulić.

– Nie wolno oceniać kogoś po jednej sytuacji. Zdaję sobie sprawę, że jeden czyn człowieka może wiele o nim powiedzieć, ale potem już chyba nie był dla ciebie taki zły, prawda?

– Pan doktor w ogóle się nie uśmiecha – marudziła i zmarszczyła nosek.

– Wszyscy ludzie czymś się od siebie różnią. Może właśnie on woli pozostawić uśmiech na inne, ważniejsze okazje?

– Ale ty zawsze się uśmiechasz.

– Bo mam powody do szczęścia, księżniczko – odparłam z miłością wypisaną na twarzy.

– Jakie?

Odpowiedź była dla mnie oczywista.

– Mam ciebie, słoneczko. – Ucałowałam ją w czubek głowy.

Lottie przytuliła się do mnie mocniej, a ja poczułam znane mi ciepło. Dla tej małej księżniczki zrobiłabym wszystko. Oddałabym jej własne serce, jeżeli zaszłaby taka potrzeba.

– Może pan doktor też potrzebuje takiej jednej osóbkki – szepnęła za-
myślona.

– Możliwe. Tego nie wiemy, Lottie. I pamiętaj, nie wolno pytać o tak
prywatne rzeczy. To nasz weterynarz, a nie ktoś, kogo znamy znacznie
dłużej.

I tak pewnie Maven miał dość plotek, które rozchodziły się po Wineley.
Podczas łapania prosiąt wspomniał o tym, że gdy jechał do szpitala, zatrzy-
mywał się parę razy, bo ludzie chcieli z nim zamienić chociażby dwa słowa.
Nie było w tym nic złego, ale po kilku razach stawało się męczące. Nawet ja
potrafiłam to sobie wyobrazić. Ludzie rzucili się na niego, jakby był jakąś
gwiazdą. Przecież pan Ji-Yul wielokrotnie wspominał o swoim ambitnym
wnuczku, który podbija świat. Mieszkańcy robili z niego zbyt wielką sen-
sację. Pan Namgung chwalił się mojej babci genialnym pomysłem żony,
aby zwabić do Wineley Mavena. Nie uważałam tego za dobry sposób, ale
chyba się pomyliłam. Bo jakimś cudem jego wnuk faktycznie tutaj został.

– Ale wydaje się nawet miły – rzuciła z entuzjazmem.

– Jest całkiem w porządku – zgodziłam się z córką.

Nie znałam go na tyle, aby swobodnie móc o nim rozmawiać. Wie-
działam, że córka dość mocno się tym ekscytowała, ponieważ rzadko
kiedy w naszej wiosce pojawiał się ktoś nowy. Lottie należała do ciekaw-
skich dzieci. Kochała zadawać pytania, dowiadywać się, czerpać wiedzę,
ona wręcz ją chłonęła. Cieszyłam się, że zdecydowałam się zapisać ją do
przedszkola. Poznała wiele dzieci, z niektórymi złapała lepszy kontakt.
Marshall był tego dowodem.

Przyłączyła się do nas babcia z Marshallem, który usiadł jej na kolanach.
Trwaliśmy w ciszy. Czułam na sobie te baczne spojrzenie babci, dlatego
tym bardziej milczałam.

– Wyrósł – powiedziała cicho.

Zmarszczyłam brwi.

– Hm?

– Maven – wytłumaczyła. – Zanim przeprowadziłaś się tutaj z rodzi-
cami, Maven często przyjeżdżał do Wineley. Ale to stare czasy. Był jeszcze

dzieckiem... – Pokręciła ze zrezygnowaniem głową. – Nie wiem, do czego musiało dojść, że przestał odwiedzać dziadków. Znaczący, źle się wyraziłam. Co miesiąc zabiera ich do siebie. Ale nigdy nie zostaje na chociażby jedną noc. Nie znosi tego miasteczka...

No tak, mimo że ludzie uznawali mnie za tą, która mieszkała w Wineley od urodzenia, wygląda to nieco inaczej. Racją, urodziłam się w małym szpitalu oddalonym godzinę drogi od tego miasteczka, ale rodzice zdecydowali się na jakiś czas zamieszkać w mieście, aby spróbować innego, być może lepszego życia. Tata miał dobrą pracę, ale mamie było zdecydowanie trudniej. Łapała się różnych prac, ale nie przynosiło to oczekiwanych efektów. Gdy już znalazła coś idealnego dla siebie, jakieś zrządzenie losu znowu komplikowało sprawę. A nie wyobrażała sobie siedzieć tylko w domu.

Mój tata nie zastanawiał się długo. Podjęła decyzję o ponownej przeprowadzce, gdy skończyłam osiem lat. Do Wineley. Tutaj mama spełniała się jako fryzjerka. Bardzo, ale to bardzo dobra fryzjerka. Młodzi ludzie uwielbiali do niej przychodzić, bo cały czas się kształciła, jeździła na warsztaty, więc nie zatrzymywała się w miejscu. Nie pamiętałam zbyt wiele z okresu mieszkania w mieście. O wiele lepiej wspominałam dzieciństwo w Wineley. Kocham to miasteczko.

Nie kojarzyłam Mavena. Albo był cichym i spokojnym dzieckiem, albo po prostu nigdy na siebie nie wpadliśmy.

– Nie rozpoznał cię? – dopytywałam.

Dzieciaki zaczęły się nudzić tą naszą rozmową. Marshall w pewnym momencie zeskoczył z kolan babci, wystawił rączkę w stronę Lottie, która zaraz też się podniosła. Złapali się za dłonie i pobiegli do piaskownicy nieopodal, dzięki temu ciągle miałam ich na oku. Mimowolnie się uśmiechałam, gdy zobaczyłam, że chłopiec otrzepał piaskownicę, żeby Lottie się za bardzo nie pobrudziła.

– Chyba mnie kojarzył. Zachowywał się dokładnie tak samo, jak kiedyś. Cały czas mówił do mnie na „pani” i nie umiał się przestawić na używanie mojego imienia. Teraz było tak samo. Odnoszę wrażenie, że zabito w nim szczęście.

– Zabito szczęście – powtórzyłam powoli. Złapałam babcię delikatnie za dłonie. – Jest dorosłym mężczyzną. Dzieci też bywają wesołe i rozbrykane, a potem nastaje dorosłość. Obie dobrze wiemy, jak to wygląda. A poza tym każdy inaczej radzi sobie z trudnymi momentami.

– No tak, ty zakrywasz to uśmiechem. – W jej oczach dostrzegłam łzy.

Przytuliłam mocno babcię. Nie lubiłam, gdy nade mną ubolewała. Świetnie sobie radziłam. Mimo że sama wychowywałam Lottie, chyba nie byłam najgorszą matką. Choć każdej nocy, gdy moja córka już spała, zadawałam sobie jedno pytanie.

Czy niczego jej nie brakuje?

– Jestem szczęśliwa, babciu. Mam powody do uśmiechu. Mam Lottie, rodziców, ciebie. Prowadzę cukiernię, robię to, co kocham – wymieniałam, chcąc, żeby mi uwierzyła.

– Ale nie masz oparcia w kimś, kto pokochałby ciebie i Charlotte. Mała zaczęła chodzić do przedszkola. Nieraz przygląda się ojcom innych dzieci. Z czasem zaczniesz ją to coraz bardziej boleć. Ciebie również, bo nie pozwalasz sobie na miłość.

– Bo jej nie potrzebuję. Moją miłością jest córka i rodzina – odpowiadałam niemal od razu.

Nie lubiłam tego tematu, a babcia często o tym wspominała. Nie potrzebowałam żadnego mężczyzny, żadnej ulotnej miłości. Byłam szczęśliwa, a nie samotna, jak uważali inni.

– Potrzebujesz kogoś, kto będzie kochał ciebie i Lottie. I nie mówię tutaj o rodzinie. Bo my będziemy cię kochać do końca naszego życia. Potrzebujesz kogoś, z kim będziesz mogła stworzyć własną rodzinę. Kogoś, kto stanie się ukochanym tatą dla tej małej księżniczki. Wiem, że zrobisz, co będziesz uważała za słuszne. Wiem, że cię do niczego nie zmuszę. Dlatego odpuściłam swatanie cię z każdym młodym mężczyzną. Ale, proszę, nie zamykaj się na to piękne uczucie, jeżeli faktycznie trafi cię strzała amora. Nie stawiaj przed miłością muru. Ona pojawia się nieoczekiwanie i nie pozwól sobie na panikę.

Odwróciłam wzrok. Skupiłam się na mojej córce, która nabierała na łoPATKĘ piasek i wsypywała do wiaderka. Marshall jej pomagał, o czymś rozmawiali, a co jakiś czas echem roznosiły się ich śmiechy. Chciałam dla niej wszystkiego, co najlepsze. Ale nie mogłam na siłę wpłatywać się w związek. Wtedy zraniłabym własną córkę i przy okazji siebie.

– Będę o tym pamiętać, babciu – wyszeptałam.

Wolałam skupić się na sobie, a przede wszystkim na Lottie. Bo miłość... Miłość niszczyła, a ja nie miałam siły na ponowne cierpienie. Nie dałabym rady wyleczyć kolejnych ran.